

VII. POD GWIAZDĄ DAWIDA¹

„...na tej gościnnej ziemi przemieniali się szybko z cudzoziemców w synów Ojczyzny. A Ojczyzna dochowała im wierności; gdy szalała tutaj przyniesiona z obcej ziemi potworna nienawiść, za cenę heroicznym ofiar ratowano znienawidzonych. I napisane zostało wtedy na tej piastowskiej ziemi najpiękniejsze, bo ceną życia pisane, świadectwo o braterstwie: braterstwie Polaków i Żydów.”

Z przemówienia ks. biskupa Kazimierza Majdańskiego na uroczystości przekazania Synagogi Warszawskiej w dniu 18 kwietnia 1983 r.

Tłum płynie w kierunku Stawek, gdzie na bocznicę przeciągniętej z Dworca Gdańskiego czekają kryte wagony towarowe. Słychać płacz, słowa modlitw, złorzeczenia. Im bliżej rampy, tym głośniejsze. Ludzie nawołują się wzajemnie, ktoś krzyczy, żeby uciekać, bo wiozą ich nie do pracy, lecz na śmierć. Przed wagonami zamieszanie. Niektórzy nie chcą do nich wsiadać. Tłum poganiany pałkami gettowych policjantów napiera. Atletycznie zbudowany mężczyzna w długich lśniących butach bije pejcem tak, że ci, których dosięgnie, padają. To były bokser Mieczysław Szmerling, oficer żydowskiej policji, komendant placu przeładunkowego. Niektórzy próbują pertraktować z policjantami, ściskając w rękach banknoty, biżuterię, złote dziesięciorniki. Wrzeszczą Niemcy, ujadają ich psy. Jest 5 sierpnia 1942 r. Słoneczny, skwarny dzień.

I nagle rozdygotany Umschlagplatz jakby cichnie. Do rampy zbliża się pochód dzieci. Idą czwórkami, są schludnie ubrane, dziewczynki tulą lalki, chłopcy nadrabiają minami. Próbuje śpiewać jakąś pieśń. Na czele sztandar z zieloną koniczyną. Na szczęście. Obok niego kobieta i niski, przeraźliwie chudy mężczyzna w okularach, łysawy, z siwiejącą brodą. Prowadzi za ręce dwoje najmłodszych wychowanków. Pochód zamyka kilkoro osób dorosłych.

¹ Jerzy Ślaski, POLSKA WALCZĄCA PAX Warszawa Wydanie II 1990., Cz.IV s. 564-601

Tak dr Janusz Korczak wraz ze swą dzieciarnią wyruszał w podróż do komór gazowych Treblinki. Miał wtedy 64 lata, a za sobą piękne i owocne życie. Faktycznie nazywał się Henryk Goldszmit. Jego matka była Polką, a ojciec, pochodzący z od dawna asymilowanej rodziny żydowskiej, zamożnym adwokatem; on sam ukończył studia medyczne. Kochał dzieci. Własnych wprawdzie nie miał, ale był najlepszym ojcem dla co najmniej kilkuset. Przez wiele lat kierował żydowskim Domem Sierot w Warszawie, następnie polskim i znów żydowskim sierocińcem. Napisał wiele książek, z których najbardziej znane to *Król Maciuś Pierwszy*, *Bankructwo Małego Dżeka*, *Moski*, *Joški i Srule* oraz *Józki*, *Jaški i Franki*. Wybitny pedagog i teoretyk wychowania popularyzował swoje idee w pogadankach radiowych, które wygłaszał jako „Stary Doktor”. Był oficerem rezerwy WP w stopniu majora.

Dr Korczak mógł nie pójść do getta, bo wielu przyjaciół oferowało mu schronienie. Poszedł wraz ze swymi dziećmi. W domu przy rogu Siennej i Śliskiej starał się zapewnić im ludzkie warunki bytowania i odgrodzić od tego, co działo się na zewnątrz. Sam zbierał dla nich żywność, pukając do drzwi różnych instytucji charytatywnych i ludzi, którzy jeszcze tę żywność mieli. Często odchodził z niczym często go znieważano. Ale uparcie czynił to do końca.

A gdy dzień ten nadszedł i do Naszego Domu przy ul. Śliskiej wtargnęli żandarmi, wyganiając dzieci krzykiem i uderzeniami kolb, „Stary Doktor” ich uciszył i oświadczył, że sam uformuje pochód. Ustawił 200 dzieci w czwórki, wraz ze swoją wieloletnią współpracowniczką, Stefanią Wilczyńską, stanął na ich czele i kazał rozwinąć sztandar z koniczyną. Ruszyli. Na końcu szło ośmioro wychowawców i pracowników.

O dr. Korczaku pisało już wielu, lecz o nich — mimo że też nie opuścili dzieci i opiekowali się nimi do ostatniej chwili — nikt nie pamięta. Wymieńmy więc chociaż ich nazwiska. Byli to: Balbina Grzyb, Róża Lipiec-Jakubowska, Sabina Lejzerowicz, Natalia Poz, Dora Solnicka, Róża Sztokman, Henryk Asterblauum i sędziwy, schorowany krawiec Henryk Azrylewicz.

W drodze na Umschlagplatz podbiegł do dr. Korczaka żydowski policjant, coś mu perswadował, pokazywał jakiś papier, usiłował wyciągnąć z szeregu. „Stary Doktor” spojrzął na niego z pogardą i przyśpieszył kroku.

Niemal identycznie postąpił sędziwy Dawid Kurzmann, wieloletni

zastępca przewodniczącego zarządu Zakładu Sierot Żydowskich w Krakowie przy ul. Dietla. Gdy 28 października 1942 r. Niemcy przystąpili do ostatecznej likwidacji sierocińca, przeniesionego już wówczas na ul. Józefińską i uformowali dzieci w kolumnę czwórkową, by zaprowadzić je do podstawionych na stacji w Płaszowie wagonów, którymi miały być przewiezione do komór gazowych Bełżca, Kurzmanna — mimo, że nikt go do tego nie zmuszał — stanął na czele kolumny. On też, wraz z dyrektorką Zakładu Reginą Feuersteinową i jej mężem, kroczył na czele idącego na śmierć pochodu.

W przeszło rok później, 13 maja 1943 r., w swym londyńskim mieszkaniu popełnił samobójstwo czołowy działacz Bundu, członek emigracyjnej Rady Narodowej, Szmul Zygielbojm, który na polecenie swych towarzyszy partyjnych w pierwszych miesiącach okupacji opuścił Warszawę, by uprzedzić świat o zagładzie zbliżającej się ku polskiemu żydostwu. Prawdziwym cudem przedostał się przez Berlin do Francji, a po jej klęsce dotarł do Stanów Zjednoczonych, skąd w marcu 1942 r. przybył do Londynu. Tam doszły do niego pierwsze wiadomości o masowym mordowaniu jego współbraci w Polsce. O szczegółach poinformował go w listopadzie specjalny kurier AK z Warszawy, Jan Koziulewski („Jan Karski”), który przekazał mu także wyuczone na pamięć słowa przesłania przywódców Żydów w Polsce Menachema Kirszenbauma z tajnego Żydowskiego Komitetu Narodowego oraz Leona Feinera z Bundu. Zaklinali oni Zygielbojma, by obudził wreszcie z letargu liczących się w świecie zachodnim członków społeczności żydowskiej i zmusił ich do zorganizowania skutecznej akcji ratowniczej.

„Niech pan im powie — żądali — żeby udali się do wszystkich ważniejszych angielskich i amerykańskich urzędów i instytucji. Niech pan im powie, żeby nie wychodzili, póki nie otrzymają gwarancji, że zapadło postanowienie powzięcia jakichś środków ocalenia Żydów. Niech odmawiają jedzenia i picia, niech konają na oczach świata powolną śmiercią. Niech umrą. To może wstrząsnąć sumieniem świata.”²

² Jan Karski (Jan Koziulewski) *Story of a Secret State*, Boston 1944. tłumaczenie Haliny Krahelskiej.

Cyt. za: Władysław Bartoszewski, *Zona Lewinówna Ten jest z ojczyzny mojej*, Kraków 1966. s. 538.

Szum Zygielbojm ściśle zastosował się do tej instrukcji. Chodził od gabinetu do gabinetu, prosił, krzyczał, bił na alarm, odbył dziesiątki rozmów. Gdy zaś przekonał się, że prócz wyrazów współczucia, przez które przebijała niewiara w to, co według jego relacji dzieje się w Polsce, niczego konkretnego nie jest w stanie uzyskać — Popenił samobójstwo. Tak, jak tamci żądali. W liście do Prezydenta RP Władysława Raczkiewicza i Premiera gen. Władysława Sikorskiego, jaki pozostawił napisał:

„Milczeć nie mogę i żyć nie mogę. gdy giną resztki ludu żydowskiego w Polsce którego reprezentantem jestem. Towarzysze moi w getcie warszawskim zginęli z bronią w rękę. w ostatnim porywie bohaterskim. Nie było mi dane zginąć tak jak oni. razem z nimi. Ale należę do nich, do ich grobów masowych. Przez śmierć swą pragnę wyrazić najgłębszy protest przeciwko bezczynności, z jaką świat przygląda się i pozwala lud żydowski wytepić. Wiem, jak mało znaczy życie ludzkie, szczególnie dzisiaj. Ale skoro nie potrafiłem tego dokonać za życia, może śmiercią swoją przyczynię się do wyrwania z obojętności tych, którzy mogą i powinni działać, by teraz jeszcze, w ostatniej bodaj chwili, uratować od niechybnej zagłady tę garstkę Żydów Polskich, jaka jeszcze żyje. Życie moje należy do ludu żydowskiego w Polsce, więc je daję”.

Wiele różni te dwie śmierci, tę z Trebliki i tę z Londynu, ale mają one też cechę wspólną: i dr Korczak, i Szum Zygielbojm uznali, że jedynie w ten sposób mogą zachować swą ludzką godność, nie sprzeniewierzyć się swym współbraciom i swym ideałom. Tylko nieliczni potrafili postąpić podobnie. Ale tacy byli. Dlatego z kilku postaw, jakie w obliczu zagłady zajęli Żydzi polscy, tę scharakteryzowaliśmy na pierwszym miejscu.

Na kilka dni przed samobójstwem Zygielbojma zginęli ci, którzy do dziś symbolizują postawę drugą: czynnej walki zbrojnej. Dnia 8 maja hitlerowcy zaatakowali wytopiony wreszcie obszerny bunkier przy ul. Miłej 18, skąd sztab Żydowskiej Organizacji Bojowej kierował dogasającym już oporem warszawskiego getta. Było tam około 300 ludzi, wśród nich 80 członków ŻOB. Niemcy przypuścili jednoczesny szturm na pięć włączów. Większość cywilów wyszła i poddała się, ci z ŻOB bronili się zaciekle. Gdy zaczął ich dusić użyty przez Niemców

Oryginał w Studium Polski Podziemnej w Londynie.

gaz, uznali, że to koniec i własną broń skierowali przeciw sobie. Wkrótce później ostatnim nie odkrytym jeszcze przez Niemców przejściem dotarł do bunkra patrol ŻOB, który miał ich wyprowadzić tą samą drogą. Został zwłoki obrońców i kilka osób nieprzytomnych, z których parę zdołał uratować i przerzucić na stronę aryjską.

W bunkrze na Miłej zginęła większość kierownictwa ŻOB: jego komendant, Mordechaj Anielewicz (pośmiertnie odznaczony przez Dowódcę AK Krzyżem Walecznych) z żoną, Arie Wilner pełniący funkcję łącznika z polskim Podziemiem, sekretarz komitetu PPR na getto, Efraim Fondamiński, członek ścisłego sztabu ŻOB, Lutek Rotblat i wielu innych.

Pozostali przy życiu kontynuowali walkę. W dniu 10 maja w bunkrze na terenie szpitala przy Gęsiej poległ sześćdziesięcioletni drukarz, Lejzor Klog, członek tajnego CK Bundu; nazajutrz w obronie bunkra na Grzybowskiej zginęła cała dziesięcioosobowa grupa Żydowskiego Związku Wojskowego na czele z Pawłem Frenklem; do końca maja broniły się bunkry w rejonie Nalewek; dnia 5 czerwca poległ dowódca ostatniej grupy ŻZW, Janek Pika; do lipca wytrwało kilka bojówek w gruzach Franciszkańskiej, placu Muranowskiego, Zamenhofa i Pawiej. Jeszcze w rok później, w czerwcu 1944 r., przechodzący przez ruiny getta patrol żandarmerii został zaatakowany granatami i stracił trzech ludzi. W wyniku natychmiastowej zorganizowanej oblawy Niemcy ujęli i rozstrzelali 25 ukrywających się Żydów. Ale fryzjer Dawid Białogród doczekał w zawałonych gruzem piwnicach wybuchu Powstania Warszawskiego.

Większość bojowników getta, którym udało się przedostać na stronę aryjską i przetrwać tam do wybuchu Powstania Warszawskiego, po wybiciu godziny „W

* ponownie wystąpiła z bronią w rękę przeciw hitlerowcom. Był wśród nich jeden z przywódców ŻOB. Hersz Berliński, który poległ w Powstaniu Warszawskim.

W getcie białostockim, podobnie jak w warszawskim, hitlerowcy dwukrotnie napotkali zbrojny opór. Po raz pierwszy w lutym 1942 r., gdy rozpoczęli wywożenie jego mieszkańców do Treblinki. Żydowskie grupy bojowe powitały ich wówczas ogniem i kwasem żrącym. Zbudowano kilka barykad. Zginęło 13 żandarmów. Po raz drugi w sierpniu 1943 r., gdy po otoczeniu getta potrójnym pierścieniem SS oraz oddziałów kolaborantów ukraińskich, białoruskich i litewskich,

Niemcy przystąpili do jego likwidacji. Wtedy istniała już w getcie Zjednoczona Organizacja Samoobrony, która siłą około 300 liczo uzbrojonych ludzi podjęła desperacką, trwającą kilka dni, walkę. Kierowali nią plutonowy WP. Daniel Moszkowicz, oraz przedstawiciel ŻKN i ŻOB. Mordechaj Tenenbaum-Tamaroff. wysłany z Warszawy do getta białostockiego dla zorganizowania tam oporu. Obydwaj polegli na ostatniej barykadzie przy zbiegu ulic Fabrycznej i Ciepłej.

W czerwcu 1943 w trakcie likwidacji getta w Częstochowie doszło tam do zbrojnego starcia między Niemcami a grupą ŻOB, która już uprzednio kilkakrotnie ich atakowała. Zginęło w nim około 20 członków Żydowskiej Organizacji Bojowej wraz z dowódcą Mordechajem Zylberbergiem. Opór Niemcom likwidującym getta stawili Żydzi w Będzinie i Tarnowie oraz w kilku kresowych miasteczkach jak Nieśwież. Lachowicze, Krzemieniec, Brasław, Głębokie, Borysław. W przygotowanych uprzednio bunkrach bronili się Żydzi w getcie lwowskim. W kilku z tych gett dysponowali oni niewielkimi ilościami broni palnej, w innych próbowali powstrzymać Niemców środkami chemicznymi, głównie butelkami z benzyną i kwasem solnym, a gdy i tych zabrakło, sięgali po widły, łomy i drągi.

A oto fragment meldunku szefa policji niemieckiej w Sosnowcu, informujący ! o zbrojnym oporze Żydów podczas likwidacji tamtejszego getta:

„Żydzi usiłowali częściowo stawiać opór przy użyciu broni. W dwóch przypadkach patrol policyjny zostały przez Żydów ostrzelane z ukrycia. Sprawców obezwładniono dopiero po walce ogniowej. W nocy z 2 na 3 sierpnia 1943 r. łańcuch posterunków i rozstawiony dokoła getta żydowskiego w Sosnowcu został ostrzelany z wielu domów getta. Grupa uderzeniowa pod dowództwem jednego oficera, uzbrojona w granaty [ręczne, wdarła się do tego bloku domów i wydostała stamtąd 27 Żydów, w tym 2 zabitych”³.

Niektórzy próbowali walczyć także i wtedy, gdy znaleźli się za drutami obozów. [Niesamowity przebieg miał bunt w obozie przy ul. Janowskiej we Lwowie, gdzie jesienią 1943 r. przebywało jeszcze

³* *Ruch oporu w Rejencji Katowickiej. Wybór dokumentów.* Warszawa 1972. s. 230.

** W 1946 r. ukazała się jego wstrząsająca książka *Brygada śmierci.* Łódź 1946. s. 117—120

około 4000 Żydów, zarówno mężczyzn jak i kobiet. Walkę rozpoczęli więźniowie z Sonderkommando. Mieli oni swoją orkiestrę, przygrywającą im, gdy szli do straszliwej pracy, polegającej na paleniu trupów. W nocy z 19 na 20 listopada 1943 r. orkiestra zaczęła w baraku głośno grać przy wtórze chóralnego śpiewu więźniów. Momentalnie pobiegli tam esesmani, a wtedy członkowie Sonderkommando zaatakowali strażników na wieżyczkach, kilku z nich zabili i ruszyli na druty. Za nimi setki innych. Żydzi mieli nieco granatów, w ruch poszły łopaty, siekiery, noże. Walczyły także kobiety. W rezultacie doszło do rzezi Żydów. Niemniej z obozu wydostało się około 600 ludzi. Większość wprawdzie później ujęto, lecz garstka zdołała ukryć się i przetrwać. Jednym z tej garstki był członek Sonderkommando Leon Wieliczker, którego znajomi Polacy ukrywali do chwili nadejścia Armii Czerwonej na lwowski przedmieście. Kleparowie. *

Gdy Wieliczker wraz z innymi znalazł się za drutami — więziarska orkiestra nadal grała. Aż do chwili, gdy została wybita przez esesmanów.

W walce, a nie w komorach gazowych — jak było im przeznaczone — zginęło w październiku 1944 r. około 250 więźniów-Żydów z Sonderkommando w Oświęcimiu.

Uderzyć na esesmanów miały jednocześnie komanda wszystkich czterech krematoriów, ale realizację tego planu utrudnił Niemiec-oberkapo, który zaskoczył spiskowców przygotowujących się do akcji w krematorium IV. Zabili go, rozdzielili broń i sprzęt: kilka pistoletów i granatów, łomy, oskardy, izolowane nożyce do cięcia drutów; wysadzili krematorium za pomocą zgromadzonego w tym celu dynamitu, sforsowali druty i przedostali się do pobliskiego lasu. Dołączyli tam do nich więźniowie z krematorium II, rozbroiwszy uprzednio dwóch esesmanów, z których jednego zastrzelili, a drugiego żywcem wrzucili do pieca krematoryjnego.

W krematoriach I i III, oddzielonych wysokimi płotami z drutów kolczastych, Niemcy opanowali jednak sytuację. Więźniów, którzy zalegli w lasu, otoczono i zlikwidowano ogniem broni maszynowej i ręcznej. Grupa uciekająca w stronę Rajską po zagrodzeniu jej drogi przez Niemców zabarykadowała się w stodole, którą esesmani podpalili. Część zginęła w płomieniach, innych zastrzelono, gdy wybiegli ze stodoły. Tam padł organizator i przywódca buntu, polski Żyd Załman Grabowski z Suwałk. Po rozprawieniu się ze zbiegami

Niemcy zamordowali 200 pozostałych więźniów ze zbuntowanych komand. Ale kilku uciekinierów wydostało się na wolność. Nie wiemy ilu, nie znamy ich dalszych losów, nie wiemy nawet, kim byli; tylko to jest pewne, że byli odważnymi, i nie chcieli umierać na kolanach.

Byli nimi również Żydzi-więźniowie Treblinki II ^{4*}, uczestnicy buntu i masowej ucieczki, do której tam doszło 2 sierpnia 1943 r. Treblinkę stale penetrowała tamtejsza siatka AK, istniał nawet projekt jej odbicia, ale nie został zrealizowany. Natomiast patrole AK z Obwodu AK Sokołów Podlaski ustawicznie krążyły w terenie przy obozowym, polując na ukraińskich strażników, którzy często opuszczali obóz, by przepić zrabowane Żydom kosztowności. Obecność tych patroli przyczyniła się do uratowania części zbiegów.

Początkowo Żydzi zamierzali obóz spalić i w nim zginąć, bo nie wierzyli, by ucieczka mogła się udać. Plan ten uległ zasadniczej modyfikacji, gdy większość esesmanów i Ukraińców, wykorzystując upalny dzień, wyjechała samochodami, aby zażywać kąpieli w Bugu i gdy pracującym w pobliżu zbrojowni więźniom udało się za pomocą dorobionych uprzednio kluczy niepostrzeżenie do niej dostać i zdobyć tam 25 karabinów, tyleż granatów i kilkanaście pistoletów.

O godz. 15.45 po oblaniu kilku baraków naftą więźniowie podpalili je i ruszyli na bramę. Wśród rozszerzających się z każdą sekundą płomieni doszło do zacieklej walki, w której Żydzi położyli trupem

⁴ Treblinka I była karnym obozem pracy dla Polaków z dystryktu warszawskiego. Pracowali oni przy eksploatacji żwiru. Treblinka II — której budowę siłami robotników żydowskich przywiezionych z warszawskiego getta rozpoczęto wiosną 1942 r. — była miejscem zagłady Żydów masowo uśmiercanych w kilkunastu komorach gazowych.

** Władysław Rażmowski *Akcja Treblinka* w: „Dzieje Najnowsze” r. 1969, s. 171—172 oraz Franciszek Ząbecki *Wspomnienia dawne i nowe*. Warszawa 1977. s. 94—95. Pierwszy z tych autorów, kpt. (mjr) „Poraj”, był w okresie buntu zastępcą komendanta Obwodu AK Węgrów i dowódcą oddziału partyzanckiego operującego w rejonie Małkini i Treblinki. Pisze on (*dz. cyt.*), że na czele oddziału AK, złożonego z trzech grup, liczących razem 52 uzbrojonych ludzi, współdziałał z zewnątrz z Żydami i że jego dwa erkaemy po rozpoczęciu buntu, którego wybuch i termin był uprzednio z nim uzgodniony, ostrzelały wieże strażnicze obozu. Natomiast Franciszek Ząbecki, również żołnierz AK, był wówczas dyżurnym ruchu na stacji kolejowej Treblinka.

niemal całą pozostałą w obozie załogę: 25 Niemców i około 60 Ukraińców, ale sami też ginęli, bo zastrzelono ich prawie 800.

Około 200 Żydów wydostało się za obóz i skierowało w stronę lasu. Natknęli się jednak na strażników pośpiesznie wracających znad Bugu i wtedy zginęło dalszych kilkudziesięciu. Reszta ukryła się w lesie. Część odnaleźli żołnierze AK i przewieźli łodziami za Bug, część zaś została ukryta przez miejscowych gospodarzy, mimo że ci wiedzieli dobrze, jakie niebezpieczeństwo ściągają w ten sposób na siebie i swoich najbliższych. Pozostałych, którzy lękali się wyjść z leśnej gęstwiny, wytropili Niemcy. ** Bunt ten i pożar przyspieszyły likwidację obozu. W listopadzie 1943 r. Treblinka praktycznie przestała istnieć: zniszczono komory gazowe, rozebrano ogrodzenia i baraki, które nie spłonęły. Cmentarzysko kryjące prochy co najmniej 800 000 Żydów, zwożonych tu z całej Europy, zaczęto zaorywać i obsadzać młodymi drzewkami.

Podobnie jak po ucieczce Sonderkommanda we Lwowie, również i w tym wypadku jeden z uciekinierów. Jankiel Wiernik, zatrudniony w obozie jako cieśla przy budowie komór gazowych, po dotarciu do Warszawy, gdzie zaopiekowało się nim polskie Podziemie, spisał swoje wspomnienia z okresu spędzonego w Treblince. Już na początku 1944 r. ukazały się one drukiem w nakładzie 2000 egzemplarzy. Wydawcą tej pierwszej relacji z monstrualnej poczekalni do gazu, bo tę funkcję Treblinka II pełniła, była Komisja Koordynacyjna ŻKN i Bundu. Wydano ją w pracującej dla Rady Pomocy Żydom drukarni, a mikrofilm pełnego tekstu broszury Delegatura Rządu przekazała pocztą kurierską do Londynu, gdzie — prócz grozy — wywołał niedowierzanie.

Równie wiele ofiar jak bunt w Treblince pociągnął bunt więźniów-Żydów oczekujących na śmierć w obozie zagłady w Sobiborze pod Włodawą. Tam też znalazła się grupa takich, którzy nie chcieli na nią biernie czekać. Grupą kierowali: oficer Armii Czerwonej lejtnant Aleksander Pieczorski i Leon Feldhendler.

Dnia 14 października 1943 r. przed zmierzchem więźniowie pracujący w warsztatach krawieckich i szewskich zwabili tam i zabili siekierami kilkunastu pilnujących ich strażników, opanowali magazyn broni, którą rozdzielili między siebie. Po uformowaniu kolumny liczącej przeszło 600 ludzi ruszyli w kierunku bramy. Zabili esesmana, który usiłował ich zatrzymać, i dopiero wtedy straż otworzyła ogień.

Część Żydów zdobyła szturmem wartownię i przedostała się do lasu, część zaś poszła na druty, gdzie niemal wszyscy zginęli. Uciekła z obozu mniej więcej połowa, lecz większość z nich — przeważnie Żydzi z Holandii, Niemiec, Francji, nie znających terenu i języka — Niemcy schwytali i stracili w obozie. Ci, którym się powiodło, dołączyli do oddziałów partyzanckich, bądź przetrwali ukryci przez chłopów. Obóz w Sobiborze w miesiąc później także uległ likwidacji.

W potworny sposób stłumili hitlerowcy próbę czynnego oporu podjętą przez Żydów uwięzionych w Poniatowej w województwie lubelskim. Gdy w nocy z 7 na 8 listopada 1943 r. przybyłe do Lublina silne oddziały żandarmerii i SS otoczyły obóz, a więźniom wydano rozkaz, by rozebrali się w barakach do naga i z podniesionymi do góry rękami szli w kierunku świeżo wykopanych rowów, rzekomo kanalizacyjnych, Żydzi, wiedząc, co ich czeka, zabarykadowali się i zaczęli przygotowywać do obrony. Wtedy Niemcy baraki podpaliłi. Kilkuset więźniów spłonęło w nich żywcem, część usłuchała rozkazu i nago poszła na miejsce kaźni, ale niewielka grupa, której udało się wyrwać z płomieni, podpaliła inne baraki, warsztaty i magazyny z umundurowaniem dla Werhmachtu. Poniatowa płonęła trzy doby, a swąd palonych ciał unosił się nad nią przez tydzień.

Zdarzało się, choć rzadko, że Żydzi w pojedynkę i z gołymi rękami szli na uzbrojonych strażników. Uczynił to młody i silny Artur Safrin ze Stanisławowa, gdy po straszliwym pobiciu go w gestapo za podrabianie dokumentów „aryjskich" został zamknięty w areszcie w obrębie tamtejszego getta. Wieczorem przywołał stojącego przed aresztem esesmana, powalił go uderzeniem pięści w skroń, zabrał mu karabin, roztrzaskał kolbą czaszkę, przesadził płot i uciekł. Najpierw ukrywał się w getcie, później u znajomych Polaków. W lutym 1943 r. wydał go konfident. Prowadzony przez dwóch agentów powalił jednego z nich, lecz zginął zastrzelony przez drugiego.

Były i Żydówki imponujące odwagą, które wybrały walkę. Jedną z najdzielniejszych to Rywa Niuta Tajtelbaum („Wanda"), uczestniczka wielu akcji bojowych wykonywanych na ulicach Warszawy przez Grupę Specjalną Sztabu Głównego GL. Intensywnie tropiona przez Niemców wpadła w ich ręce w lipcu 1943 r. i została zamęczona w al. Szucha. Tuż przed zakończeniem wojny, w drugą rocznicę rozpoczęcia walk w getcie, odznaczono ją pośmiertnie Krzyżem Grunwaldu III kl.

Na niezwykle czyn zdobyła się w Brzezince młoda żydowska

aktorka z Warszawy. Franciszka Mann. Dnia 23 października 1943 r. podczas selekcji wyrwała raportführerowi Schillingerowi pistolet i zaczęła strzelać. Zabiła Schillingera. raniła drugiego esesmana, lecz zginęła od pocisków ich kompanów. Franciszka Mann świetlaną postacią z pewnością nie była. Przeciwnie: ciąży na niej zarzut, iż przebywając w getcie warszawskim współpracowała z gestapo. Niemniej jej desperacki czyn — na który odważyła się, gdy pojęła, że mimo usług, jakie oddawała hitlerowcom, i ją czeka śmierć z ich ręki — zachował się w pamięci współwzięńców.

Wielu uciekinierów z gett i obozów walczyło w oddziałach partyzanckich, zwłaszcza w oddziałach GL-AL. Ale bez trudu można ich odnaleźć w licznych oddziałach AK. Jeden z pierwszych oddziałów partyzanckich Okręgu Lwowskiego AK, mianowicie sformowany na terenie Obwodu Przemyślany OP 1/40. pp AK. którym dowodził kpt. „Proch” (inż. Fryderyk Staub), liczący już na początku swej działalności 130 nieźle uzbrojonych żołnierzy, miał trzy plutony: polski, radziecki (utworzony ze zbiegłych jeńców) i żydowski (grupujący uciekinierów z gett).^{5*}

W oddziałach partyzanckich AK znalazło się również wielu lekarzy pochodzenia żydowskiego. Jednym z nich był ppłk dr Józef Galler („Chudy”), w latach międzywojennych naczelnym lekarzem 25. pp z Piotrkowa Trybunalskiego. Zamknięty w getcie piotrkowskim, w październiku 1942 r. został wyprowadzony stamtąd przez łączniczkę AK i przez dwa lata ukrywano go we wsiach koło Rozprzys, a jesienią 1944 r. objął stanowisko naczelnego lekarza w swym dawnym pułku, odtworzonym wówczas jako 25. pp AK. Kilku lekarzy-Żydów znalazło się w 27. Wołyńskiej DP AK. Szefem służby zdrowia zgrupowania „Osnowa” był tam dyrektor szpitala zakaźnego we Włodzimierzu Wołyńskim por. dr Ignacy Jakira („Butrym”), komendantem szpitala polowego w tym zgrupowaniu por. dr Zygmunt Podlipski („Sanus”), a lekarzem I batalionu 45. pp AK przerzucony z Warszawy por. dr „Gryf” (Grzegorz Fedorowski).

Spora jest lista tych, którzy wybrali tę drogę. Są na niej bitni dowódcy, są tacy, którzy padli w boju. Oni też wnieśli swą część do czynu orężny Polski Walczącej. Byli w Wielkiej Dywersji. Nawet w tak

⁵Jerzy Węgierski *W lwowskiej Armii Krajowej*, Warszawa 1989, s. 146—152

doborowym oddziale pierwszej linii jak „Pegaz-Parasol”, w którym wśród oficerów prowadzących szkolenie motorowe i spadochronowe znajdowali się dwaj instruktorzy Szkoły Podchorążych „Agricola”, ppor. „Sam” (Kazimierz Glazer) z Łodzi, wysokiej klasy specjalista w dziedzinie budowy silników samochodowych i ppor. „Szprotka” (Władysław Holender) ze Lwowa, absolwent tamtejszej politechniki. Zginęli w jednym dniu, 22 czerwca 1942 r., zaskoczeni przez Niemców w mieszkaniu przy ul. Słonecznej na Mokotowie, które wspólnie zajmowali. „Sam” wyskoczył z trzeciego piętra i zabił się na bruku. „Szprotkę” wraz z żoną Jadwigą i jeszcze trzema nie zidentyfikowanymi osobami zastrzelili gestapowcy.

* „Sam” i „Szprotka”, podobnie jak wiele innych osób pochodzenia żydowskiego, rozumieli, że sprawa, którą reprezentuje polskie Podziemie, jest także ich sprawą i że również na nich ciąży obowiązek narażania się dla niej. A czynili to często. Gdy w wytwórni materiałów wybuchowych w Pionkach w sposób zastraszający dla Niemców zaczęła rosnąć liczba aktów sabotażu i stwierdzili oni, że najwięcej ich popełniono w walcowni prochów nitroglicerynowych. Wpadli na pomysł, by zatrudnionych tam Polaków zastąpić Żydami. Tak też zrobili. Ale Żydzi, których polscy walcownicy musieli uprzednio przeszkolić, szybko pojęli, jak należy pracować, by dochodziło do samozapaleń płatów prochu na walcach i sytuacja nie uległa żadnej zmianie.

O takiej postawie, przejawianej przez niektórych Żydów, należy pamiętać. Ale nie można również pominąć postaw diametralnie odmiennych.

Na początku 1943 r. do niezwyklej egzekucji doszło w piwnicy domu przy ul. Karmelickiej 8 w getcie warszawskim. Po uprzednim odczytaniu wyroku stracono tam 11 osób, w tym 3 kobiety. Ciała zakopano na miejscu. Skazańcami byli Żydzi i wyrok wykonali Żydzi. Z tym, że pierwszymi byli agenci utworzonej przez gestapo na terenie getta organizacji dywersyjno-szpiegowskiej „Żagiew”, drugimi zaś członkowie Żydowskiego Związku Wojskowego.

„Żagiew”, używająca również nazwy „Żydowska Gwardia Wolności”, miała na celu penetrację żydowskiego Podziemia oraz ujawnianie jego powiązań z polskimi organizacjami konspiracyjnymi. Na polecenie Karla Brandta, szefa referatu żydowskiego w warszawskim gestapo, utworzył ją i nią kierował stary agent

hitlerowców, Abram Gancwajch. „Żagiew” powstała w lutym 1943 r., a więc na krótko przed ostateczną rozprawą Niemców z gettem w Warszawie. Można przypuszczać, iż do jej powstania przyczynił się zbrojny opór, jaki Żydzi stawili Niemcom w styczniu 1943 r. Potwierdził on bowiem istnienie w getcie organizacji podziemnej, zdecydowanej na podjęcie walki. Właśnie „Żagiew” miała tę organizację rozpracować i przyczynić się do jej obezwładnienia i rozbicia.

Natomiast już w grudniu 1940 r., czyli wkrótce po utworzeniu getta, Niemcy utworzyli w nim inną agenturę, złożoną z Żydów. Jej głównym celem było usprawnienie grabieży ludności żydowskiej, a także likwidowanie w zarodku wszelkich przejawów oporu i samoobrony. Oficjalna jej nazwa brzmiała- „Urząd do Walki z Lichwą i Spekulacją”, potocznie jednak nazywano ją „Trzynastką” (od adresu siedziby jej „sztabu”, który mieścił się przy ul. Leszno 13). Szefem „Trzynastki” był wspomniany już Abram Gancwajch, jego zastępcą Dawid Sternfeld. W lipcu 1941 r. Niemcy „Trzynastkę” rozwiązali, a jej 700 funkcjonariuszy wcielili do Służby Porządkowej (policji żydowskiej). Gdy wiosną 1942 r. pewną ich liczbę rozstrzelali. Gancwajch uciekł z getta i ukrywał się po stronie „aryjskiej”. Na początku 1943 r. znalazł się w getcie ponownie i - jak już powiedziano — utworzył „Żagiew”. Większość jego ludzi była wyposażona przez gestapo w pistolety i dokumenty zapewniające im nietykalność ze strony Niemców i swobodne opuszczenie getta.

„Żagiew” została szybko” zdemaskowana przez żydowskie Podziemie, a walką z nią zajął się przede wszystkim ŻZW. Jego komórka dochodzeniowo-sądowa wszczęła postępowanie przeciw jej członkom, zapadło wiele wyroków śmierci. Wykonywano je kolejno, najwięcej w ostatnich tygodniach przed wybuchem walk w getcie. Łącznie ŻZW zlikwidował — w kilku przypadkach przy pomocy ludzi z oddziału OW-KB mjr. „Bystrego” (Henryk Iwański) — 59 Żydów, niebezpiecznych agentów gestapo.^{6*}

Niedobitki „Żagwi” jeszcze po likwidacji getta polowały w Warszawie na ukrywające się tam osoby pochodzenia żydowskiego.

⁶ Pewne nieścisłości w informacji dotyczącej „Żagwi”, zamieszczonej w I wydaniu, poprawiłem - Podobnie jak kilka innych w tym rozdziale - dzięki uwagom dr Teresy Prekerowej. za które jej dziękuję.

Agentów tych, a byli wśród nich i tacy, którzy mieli kwatery w siedzibie gestapo przy al. Szucha, tępiono aż do wybuchu Powstania Warszawskiego. Jednego z najgroźniejszych, Leona Skosowskiego zwanego „Lolkiem”, zastrzelił 1 listopada 1943 r. w „Gospodzie Warszawskiej” przy ul. Nowogrodzkiej zespół likwidacyjny kontrwywiadu OW AK. Dalsze losy Gancwajcha są nieznane. Wiadomo tylko, że gdy gestapo postanowiło go zgładzić jako świadka swych przeróżnych kombinacji z Żydami, uciekł z Warszawy i mimo rozesłanych za nim listów gończych nie został odnaleziony.

Gestapo krakowskie także miało siatki konfidentów złożone z Żydów. Na czele najliczniejszej z nich stał wyjątkowo groźny agent Józef Diamand, od początku okupacji pomagający Niemcom w grabieży i mordowaniu ludności żydowskiej.

Wielokrotne próby zlikwidowania Diamanda podejmowane przez krakowski Kedyw nie dały rezultatu. Zastrzelono wprawdzie kilku jego ludzi, wśród nich szczególnie mu bliskiego Pawła Gottlieba, lecz on sam wywijał się z zastawianych na niego pułapek. W końcu jednak to, co mu się należało, otrzymał od swych mocodawców z gestapo, dla których — podobnie jak Abram Gancwajch dla ich kolegów w Warszawie — stał się niewygodnym świadkiem ich afer i grabieży. We wrześniu 1944 r. wraz ze swą kochanką i kilkoma innymi agentami został zamknięty w więzieniu przy Montelupich, gdzie całe towarzystwo zlikwidowano.

W podobny sposób zapłacili Niemcy swym żydowskim agentom, grasującym w Krakowie już po likwidacji getta, która nastąpiła w dniach 13—14 marca 1943 r. W większości byli to żydowscy policjanci (w Krakowie zwani „odemanami”, gdyż owa formacja, utworzona na rozkaz Niemców przez Gminę Żydowską, miała oficjalną nazwę „Ordnungsdienst”), których w czasie wysiedlania getta w tym właśnie celu oszczędzono. Tworzyli oni szajki niezwykle groźne zarówno dla swych ukrywających się współziomków, jak i pomagających im Polaków. Niemcy niemal wszystkich ich zlikwidowali. Ostatnich dosłownie w przeddzień swej ucieczki z Krakowa.

Znacznie wcześniej, bo już w grudniu 1943 r., skończył swą haniebną karierę pan, władca i postrach krakowskiego getta, komendant „Ordnungsdienst”, Symche Spira. Była to wyjątkowa kanalia. Przed wojną ortodoks, noszący brodę i pejsy, stał się katem swych współbraci. Gorliwością w ich prześladowaniu przewyższał hitlerow-

ców, którzy wyręczałi się nim w najbrudniejszej robocie. To właśnie Spira na czele grupy „odemanów” w 1943 r. przed ostateczną likwidacją getta wieszal na długiej szubienicy, ustawionej wzdłuż torów kolejowych przy dworcu w Płaszowie, Polaków przywiezionych tam z więzienia na Montelupich. Egzekucję tę Niemcy sfotografowali i sfilmowali, wykorzystując te zdjęcia — jak napisze wiarygodny autor — „jako dowód znęcania się Żydów nad Polakami”^{7*}.

Nagrodę od swych mocodawców otrzymał Symche Spira 14 grudnia 1943 r. Wieczorem tego dnia na teren opustoszałego już getta, pod budynek, w którym mieściła się siedziba „Ordnungsdienst”, zajęchali esesmani, wyprowadzili znajdujących się tam policjantów żydowskich oraz członków ich rodzin, zawieźli wszystkich do obozu w Płaszowie, zastrzelili, a następnie zwłoki spalili na ogromnym, przez całą noc płonąącym stosie drewna.

Pierwszy został zastrzelony Symche Spira. Razem z nim zabito jego żonę, syna, córkę i zięcia.

Dużym osiągnięciem krakowskiej AK było rozbitcie groźnej gestapowskiej agentury, mianowicie szajki Romana Słania, współpracującej z siatką Diamanda w szantażowaniu ukrywających się Żydów. Została ona bowiem rozbita — choć brzmi to dziwnie — z rozkazu szefa kripo przez jej funkcjonariuszy. Do tego nieporozumienia, za które ów Niemiec drogo zapłacił, doszło dzięki temu, że w kripo pracowało kilku żołnierzy AK. Śledzili oni Słania i jego kompanów, kilkakrotnie ich zatrzymywali, lecz za każdym razem interwencja gestapo szybko otwierała przed nimi drzwi aresztu. Podobny wypadek zdarzył się w kwietniu 1944 r., z tą różnicą, że po zatrzymaniu pod pretekstem wszczęcia awantury ulicznej jednego z ludzi Słania, funkcjonariusz kripo i oficer AK, ppor. „Janusz” (Stanisław Szczepanek), do którego ta sprawa trafiła, nie powiadomił o niej gestapo, lecz po wydobyciu od zatrzymanego informacji, że właśnie w tej chwili Słania i jego sztab biesiadują w melinie przy ul. Blich 7, zameldował o tym swemu szefowi. Uczynił to w takiej formie, iż z meldunku wynikało, że owymi biesiadnikami są groźni „polscy bandyci” i że nadarza się obecnie wspaniała okazja ich ujęcia. Komendant kripo, Schubert, połknął przynętę i wysłał pod wskazany

⁷ * Aleksander Bieberstein *Zagłada Żydów w Krakowie*, Kraków 1986, s. 77—78.

adres czterech swych podwładnych: trzech funkcjonariuszy kripo — którzy byli członkami AK — i jednego Niemca jako dowódcę. Prowadził ich zatrzymany członek szajki, który sądził, że tamci idą tylko po to, by sprawdzić wiarygodność jego zeznań; jego zaś obecność gwarantowała patrolowi, że Słania otworzy drzwi.

W rezultacie przy ul. Blich doszło do strzelaniny, w której kripowcy zabili Słania i trzech jego pomocników. Tamtym udało się zastrzelić przez drzwi jednego z nieproszonych gości. Był nim prowadzący patrol rzeźmieszek, sprawca tego krwawego qui pro quo.

Kolaboracja niektórych Żydów z hitlerowcami niejedno miała oblicze. Gancwajch, Diamand i im podobni to były ekstremalne jej przypadki. Drugi jej biegun stanowiła historia tzw. Żydowskiego Ośrodka Wsparcia (Judische Unterstiitzungstelle, w skrócie JUS), utworzonego na polecenie Niemców w Krakowie, a przechwytyjącego dary przychodzące z Zachodu dla Żydów polskich. JUS był kolejnym wcieleniem Żydowskiej Samopomocy Społecznej, odpowiednika polskiej RGO, która od 1940 r. do rozpoczęcia masowej eksterminacji ludności żydowskiej prowadziła wśród niej działalność charytatywną, rozdzielając dary nadsyłane przez Międzynarodowy Czerwony Krzyż i organizacje żydowskie. Wprawdzie znaczna część tych darów trafiała do Niemców, lecz i dla Żydów coś zostawało. Żydowską Samopomoc Społeczną rozwiązano w 1942 r., a w rok później, gdy poza obozami pracy przymusowej Żydów praktycznie w Generalnym Gubernatorstwie nie było, ku zaskoczeniu i oburzeniu polskiego Podziemia i ukrywających się działaczy Żydowskiego Komitetu Narodowego, Niemcy ją reaktywowali pod zmienioną nazwą, lecz nie zmienionym kierownictwem, na którego czele stał były dyrektor teatru żydowskiego w Krakowie, dr Michał Weichert. Delegatura i ŻKN powiadomiły bezzwłocznie rządy alianckie o prawdziwym obliczu JUS i kierowały wielokrotnie apele do organizacji reprezentujących międzynarodowe żydostwo o wstrzymanie wysyłki jakichkolwiek darów, gdyż trafiają one tylko do Niemców i są jedynie wodą na młyn hitlerowskiej propagandy, bo sam fakt istnienia instytucji rzekomo rozdzielającej je wśród polskich Żydów sugeruje, iż wbrew rozpowszechnianym przez Polaków wiadomościom żyją oni i potrzebują pomocy.

Mimo tych apeli przesyłki z darami nadchodziły aż do września 1944 r.: 90 procent darów zabierali Niemcy, resztą dzieliło się kierownictwo

JUS.

Dr Weichert w rozmowach z działaczami Podziemia, domagającym się zaprzestania przez niego tej działalności, początkowo aprobował ich stanowisko, nadal jednak robił swoje, a wreszcie kategorycznie odmówił podporządkowania się decyzjom zarówno Delegatury, jak i ŻKN. Hitlerowcy darzyli go wielkimi względami: miał swobodę poruszania się, dostęp do wszystkich niemieckich urzędów, nie obowiązywały go ani godzina policyjna, ani noszenie opaski z gwiazdą Dawida; zajmował luksusowe mieszkanie w specjalnie odremontowanej stylowej kamieniczce, w której mieściła się siedziba JUS. opływał we wszystko. Żydowskie Podziemie wydało na niego w 1942 r. wyrok śmierci, lecz nie zdołano go wykonać, natomiast Delegatura uznała, że karę powinien mu wymierzyć sąd w wolnej już Polsce. To stanowisko Delegatury sprawiło, że gdy jesienią 1944 r. Niemcy rozpedził; JUS, a jego szef zagrożony aresztowaniem musiał ratować się ucieczką, znalazł schronienie u działaczy finansowanej przez Delegaturę Rady Pomocy Żydom. którzy — nieświadomi zresztą wyroku wydanego przez jego współplemieńców — utrzymywali go z pieniędzy Delegatury aż do wyzwolenia Krakowa. Po wojnie dr. Weichert, udrapowany w szaty niezłomnego bojownika sprawy żydowskiej, znalazł się w Izraelu.⁸

⁸ W ten właśnie sposób sprawę dr. Weicherta i JUS relacjonują Władysław Bartoszewski i Zofia Lew i-nówna (*dz. cyt.*, s. 117—118), Teresa Prekerowa (*Konspiracyjna Rada Pomocy Żydom w Warszawie 1942—1945*, Warszawa 1982, s. 312—316), a także Marek Arczyński i Wiesław Balcerak (*Kryptonim „Żegota”* Warszawa. 1979. s. 158—164 i 240). Wszyscy oni stwierdzają, że działalność dr. Weicherta po rozwiązaniu przez Niemców Żydowskiej Samopomocy Społecznej i utworzeniu przez nich JUS, na czele którego stał, miała charakter wspierającej hitleryzm dywersji. Najbardziej miarodajnym jest świadectwo Marka Arczyńskiego, który był jednym z założycieli Rady Pomocy Żydom, członkiem jej prezydium (skarbnikiem), a po ujawnieniu dywersyjnej roboty dr. Weicherta przeprowadzał z nim rozmowy, co w udokumentowany sposób zrelacjonował w cytowanej pracy. Dla porządku trzeba jednak dodać, że inaczej tę sprawę naświetla dr Aleksander Bieberstein (*dz. cyt.*, s. 160—163). według którego dr Weichert do końca swej działalności udzielał istotnej pomocy Żydom osadzonym w obozach. Dodajmy tu jednak, że praca dr. Biebersteina, aczkolwiek wydana dopiero w 1985 r., powstała bezpośrednio po wojnie, autor nie mógł więc znać

Prócz postawy nakazującej przyjąć swój los z godnością, postawy czynnego oporu i walki czy też przypadków kolaboracji i zdrady była wśród Żydów jeszcze jedna postawa, która dominowała: rezygnacji, bierności, apatii.

Gdy emisariusze Rady Pomocy Żydom z narażeniem własnego życia docierali do obozów pracy, by nawiązać łączność z zamkniętymi tam Żydami, co umożliwiłoby zorganizowanie ich ucieczki, ci często w ogóle nie chcieli z nimi rozmawiać. Tak odprawiono z Pionek młodzieńką kurierkę Ewę Sarnecką, żydowskiego zresztą pochodzenia, tak odprawiano także innych.

Dnia 7 listopada 1942 r. partyzanci z oddziału GL im. Tadeusza Kościuszki opanowali żydowski obóz pracy w Janiszowie nad Wisłą, w powiecie krańskim i otworzyli jego bramy. Żydzi odmówili jednak wyjścia na wolność. Partyzanci wycofali się więc po uprzednim zastrzeleniu komendanta obozu i zabraniu żywności oraz odzieży z rozbitego magazynu. Wkrótce po ich odejściu Żydów rozstrzelano.

W grudniu 1942 r. patrol AK dowodzony przez sierż. „Sępa” (Kazimierz Wyszynski) zatrzymał pod Nurcem na wschód od Siemiatycz pociąg wiozący Żydów transportowanych z Wilna do Treblinki. Ci nie chcieli opuścić wagonów. Partyzanci, trzymając w szachu litewskich konwojentów, którzy zabarykadowali się w swym wagonie, tłumaczyli Żydom, że jadą na pewną śmierć. W odpowiedzi usłyszeli, że jadą nie na śmierć, lecz do pracy, bo kazano im zabrać potrzebne do niej narzędzia.

W Okręgu Białostockim AK podobne wypadki zdarzały się tak często, że jego komendant, płk „Mścisław”, w końcu z irytacją zameldował o tym Komendzie Głównej.

„Ponieważ przez teren Obwodu AK Zambrów — pisał w jednym ze swych raportów — przebiega trasa transportów Żydów do obozu zagłady w Treblince, usiłowano ułatwić ucieczki Żydom z transportów. Wszelkie jednak próby, przy bardzo dużym narażeniu się, nie dawały rezultatu. Poza nielicznymi wypadkami Żydzi po prostu nie zdradzali chęci ucieczki z transportu.”¹⁰

Większość nie wierzyła, że u kresu tej podróży czekają na nich

dokumentów później ujawnionych (wyjechał do Izraela w 1959 r., zmarł tam w 1979 r.).

⁹ Władysław Zajdler-Żarski Ruch oporu w latach 1939—1944 na Białostocczyźnie - referat materiałowy. Warszawa 1967. cz. II, s. 3.

komory gazowe.

Zamożniejsi do końca ufali w siłę pieniądza. Nawet taka lekcja, jaką była afera Hotelu Polskiego, niczego ich nie nauczyła. Polegała ona na tym, że hitlerowcy poprzez swych agentów rozpuścili w Warszawie wiadomość, iż ukrywające się w Warszawie i jej okolicach osoby pochodzenia żydowskiego mogą za określoną, bardzo wysoką, opłatą otrzymać dla siebie i dla swych bliskich paszportu krajów neutralnych, uprawniające do opuszczenia Generalnego Gubernatorstwa i wyjazdu poza obszar znajdujący się we władaniu Niemiec. Kandydaci wraz z bagażem, przygotowani już do podróży, mieli zgłaszać się w Hotelu Polskim przy ul. Długiej. Żydzi informację tę przyjęli nieufnie, lecz gdy pierwsza grupa śmiazków zaryzykowała i okazało się, że istotnie wyprawiono ją za granicę — co było niezbędne, by w pułapkę wpadło znacznie więcej ofiar — chętnych znalazło się niemało. Umieszczono ich w Hotelu Polskim, po czym obrabowano i wymordowano.

Tak tę sprawę naświetlają autorzy, którzy dotychczas o niej pisali, tak też zreferowałem ją w I wydaniu. Natomiast według informacji dr Teresy Prekerowej, przekazanej mi po ukazaniu się I wydania (por. także Teresa Prekerowa *Sprawa Hotelu Polskiego*, „Polityka” r. 1987, nr 20), wyglądała ona nieco inaczej. Jest to historia tak rewelacyjna, że warto ją streścić.

Otóż wiosną 1942 r. Niemcy zakomunikowali Judenratowi w warszawskim getcie, że Żydzi-cudzoziemcy, mający obywatelstwo zagraniczne, będą mogli z Polski wyjechać w ramach wymiany za obywateli niemieckich internowanych w państwach będących w stanie wojny z III Rzeszą. Zrozumiało, że informacja ta wywołała ogromne poruszenie wśród Żydów. I to nie tylko wśród posiadaczy zagranicznych paszportów. Także i Żydzi-obywatele polscy zaczęli wysyłać różnymi kanałami do swych znajomych i krewnych za granicę prośby o przesłanie odpowiednich dokumentów. W getcie warszawskim powstał nawet specjalny konspiracyjny komitet, który sporządził i przekazał za granicę listę osób zasługujących w pierwszej kolejności na ratunek wraz z prośbą o wydanie im paszportów. Jednocześnie Niemcy zaczęli rejestrować Żydów-obcokrajowców (punkt rejestracyjny mieścił się w Hotelu Polskim przy ul. Długiej). Tych, którzy zgłosili się - a byli to nie tylko mieszkańcy getta w Warszawie, lecz również Żydzi z gett prowincjonalnych, a nawet ukrywający się po stronie „aryjskiej” - internowano w specjalnym

pawilonie Pawiaka, co uchroniło ich przed wywiezieniem do komór gazowych Treblinki. Po pewnym czasie przetransportowano ich do obozów dla internowanych w Titmoning w Bawarii i w Vittel we Francji. W grudniu 1942 r. zaczęły nadchodzić dokumenty, o które prosili Żydzi. Były to, jak je wówczas określano, certyfikaty, czyli poświadczenia obywatelstwa z obietnicą wydania paszportu w terminie późniejszym. Z reguły pochodziły one z konsulatów państw południowoamerykańskich w Szwajcarii, Berlinie. Francji etc. Rychło jednak okazało się, że większość osób, których dokumenty te dotyczyły, już zmarła lub została zamordowana. „I wtedy sami Niemcy w Auslandstelle — pisze Teresa Prekerowa — dali do zrozumienia, że dokumenty nie powinny się zmarnować i że jest im wszystko jedno, kto będzie się nimi legitymował.”

W rezultacie Niemcy — za pośrednictwem swych żydowskich agentów — zaczęli sprzedawać Żydom owe „certyfikaty”. Płacono za nie — przeważnie w złocie, biżuterii i dolarach — sumy astronomiczne. Zaopatrzyli się w nie także żydowscy agenci. Łącznie z Hotelu Polskiego wysłano do Vittel i do Bergen Belsen 3000 Żydów, którzy mieli lub zdobyli takie dokumenty. Warunki w owych obozach dla internowanych, w których Żydzi czekali na dalszy transport, były niemal luksusowe. Sprawa jednak skomplikowała się, gdy rządy państw południowoamerykańskich, których obywatelstwem legitymowali się internowani Żydzi, oświadczyły, iż poświadczenia obywatelstwa wydawane przez konsulaty (które inkasowały za każde po kilkaset dolarów) są nielegalne i że Żydów na swe terytorium nie wpuszczą. Niemcy zareagowali na to w ten sposób, że ostatni transport z Hotelu Polskiego zamiast do Vittel skierowali w lipcu 1943 r. na Pawiak, gdzie wymordowali większość (prawie 300) znajdujących się w nim Żydów, a dwa duże transporty z Vittel i Bergen Belsen wysłali na zagładę do Oświęcimia.

Ograbienie, a następnie wymordowanie na Pawiaku (a ściślej na terenie posesji przy ul. Dzielnej naprzeciw głównej bramy Pawiaka) ponad 300 Żydów przywiezionych z Hotelu Polskiego, mających paszporty państw neutralnych, odbiło się głośnie echem w całej Warszawie. Wiadomość ta poszła również w świat. I to właśnie sprawiło, że przez wszystkie lata powojenne — a nawet jeszcze dziś — historię z paszportami dla Żydów przedstawiało się tak, jak naświetliłem ją w wydaniu I: jako lokalną inicjatywę warszawskich gestapowców, którzy w ten cyniczny sposób ułatwili sobie obrabowanie i tak skazanych na śmierć przedstawicieli żydowskiej

elity. W rzeczywistości był to tylko fragment przedsięwzięcia zakrojonego na znacznie większą skalę.

Energiczna interwencja rządu Stanów Zjednoczonych — a także rządu RP — sprawiła, iż w końcu rządy zainteresowanych państw wyraziły zgodę na imigrację Żydów. Pewna ich liczba już w czasie wojny znalazła się w USA, Szwajcarii, Palestynie i Ameryce Południowej. Dokładnej liczby nie da się ustalić. Dotyczy to również łącznej liczby Żydów objętych tą akcją. Jest to jednak liczba rzędu kilkunastu tysięcy, gdyż w obozach dla internowanych, w których gromadzono Żydów z zamiarem wywiezienia ich poza teren kontrolowany przez III Rzeszę, znajdowali się nie tylko Żydzi, skierowani tam z Warszawy (właśnie przez Hotel Polski), lecz także z innych gett w naszym kraju oraz z Grecji, Holandii, Jugosławii, Węgier itd. Była to bowiem akcja prowadzona przez Niemców na terenie całej okupowanej Europy. Z tekstu, który tu omawiam, nie wynika wreszcie to, czy Niemcy — prócz korzyści materialnych zagarniętych przez sprzedających certyfikaty gestapowców — osiągnęli w wyniku owej akcji coś więcej. O tym, czy zgodnie z początkowymi intencjami III Rzesza uzyskała w zamian za Żydów uwolnienie swych obywateli, internowanych w państwach znajdujących się z nią w stanie wojny — omawiany tekst nie wspomina.

Tak czy inaczej o aferze Hotelu Polskiego, która — niezależnie od początkowych intencji Niemców — dla wielu Żydów, i to wykształconych i bogatych, zakończyła się tragicznie, co uprawniało społeczność żydowską do uznania jej za kolejne oszustwo ze strony hitlerowców. Żydzi już w czasie okupacji mówili bardzo niechętnie. *¹¹

¹¹ * Szeroko natomiast krążyła opowieść, podobno prawdziwa, o cudownym niemal ocaleniu cadyka z Bełzca. Chaima Rokaha. którego kurierzy AK mieli przerzucić do Turcji. Przy tym cadyk, który prócz hebrajskiego i jidysz nie znał żadnego innego języka, odbył tę podróż w szatach rytualnych. Tak przynajmniej napisał Edmund Odorkiewicz (*dz. cyt.*, s. 160). Ten sam autor dodał, że były wicekonsul RP w Stambule, adwokat Jerzy Kurcysz, zamieszkały obecnie w Katowicach, posiada pisemne podziękowanie cadyka dla AK i kurierów za zorganizowanie tej przeprawy. Według wiarygodnych informacji, które dotarły do mnie po ukazaniu się I wydania, opis ten należy nieco skorygować. Podziękowanie cadyka istotnie zachowało się, ale Edmund Odorkiewicz przesadził, pisząc, że cadyk podróżował w szatach rytualnych. Miał on na sobie zwyczajne, świeckie

Ale ani fakt wymordowania kilkuset osób, którym gestapo zagwarantowało — odpłatnie, za ogromne sumy — bezpieczny wyjazd do krajów neutralnych, ani inne podobne doświadczenia nie przekreśliły wiary większości Żydów w to, że Niemcy mimo wszystko przestrzegają pewnych reguł.

Jeden z polskich pisarzy, który okupację spędził w historycznym Zbarażu, opowiadał po wojnie, że gdy hitlerowcy nakazali Żydom z wyższym wykształceniem stawić się w określonym dniu i miejscu, wszyscy to uczynili, rozumując, iż widocznie tacy ludzie są władzy okupacyjnej do czegoś potrzebni i nic im nie grozi, gdyż w przeciwnym wypadku Niemcy nie interesowaliby się nimi. **Wywieziono ich za miasto i zastrzelono.**

Wiadomości o rzeziach Żydów na kresach wschodnich — nadchodzące do gett w Polsce centralnej — postawy tej nie zmieniły.

W kwietniu 1942 r., podczas jednej z narad przywódców żydowskich w getcie warszawskim, przedstawiciel syjonistów, Menachem Kirszenbaum, tak zareplikował na sugestię przygotowania getta do samoobrony:

„Owszem, na Litwie stało się to, co się stało. Na pewno to się zdarzy także w innych miejscach. Ale można z całą pewnością przyjąć, że w Warszawie, w sercu Europy, Niemcy nie zdobędą się na takie postępowanie. Nie igrajmy z ogniem. Odpowiedzialność zbiorowa getta. Nie sprowadźmy sami na siebie nieszczęścia”.

Na podobnej naradzie, która odbyła się w getcie w lipcu 1942 r., niemal w przeddzień masowych deportacji do Treblinki, znany historyk dr Ignacy Szyper, wołał:

„Samoobrona jest równoznaczna z zagładą całego getta. Wierzę, że uda nam się zachować podstawową część getta. Jest wojna, każdy naród musi ponosić ofiary, by ratować istotną część narodu. Gdybym był przekonany, że nie zdołamy zachować tej istotnej części, wyciągnąłbym inne wnioski”.

Duże wrażenie na zebranych wywarło sugestywne wystąpienie Zysie Frydmana, przywódcy religijnej partii „Aguda”.

„Wierzę w Boga — mówił on — i wierzę, że nastąpi cud. Bóg nie

ubranie. Na dodatek niezłe posługiwał się językiem niemieckim (nie znał natomiast polskiego). Nie zmienia to faktu, że przerzut cadyka przez tyle granic aż do Turcji był nie lada wyczynem kurierów AK.

da, by jego naród uległ zagładzie. Powinniśmy czekać, czekać na cud. Walka z Niemcami jest nonsensem. Niemcy wytrzebią nas w ciągu kilku dni. Pytam was, przyjaciele moi, którzy wierzycie aliantom, czemu ogarnia was rozpacz? Wszak wierzycie, że alianci zwyciężą i przyniosą nam wolność. A teraz wy, przyjaciele, liczący na rewolucję i Związek Radziecki, przecież wy wierzycie, że Czerwona Armia przyniesie wam wolność, ufajcie więc Czerwonej Armii. Drodzy przyjaciele, wytrwania i wiary i będziemy wyzwoleni." *¹²

Słowa te odzwierciedlały ówczesny stan umysłów ortodoksów, którzy sprawowali rząd dusz nad większością społeczności żydowskiej w Polsce. Na czele z rabinami i chasydami zapewniali wiernych, że to tylko kolejne doświadczenie, jakie Bóg zsyła na naród wybrany i że narodowi temu nic innego nie zostaje prócz wiary w Jahwe i w to, że nie pozwoli On, by Żydzi ulegli zagładzie.

Nic więc. dziwnego, że fiaskiem skończyła się próba zorganizowania oporu podjęta przez pełnomocnika KC PPR na getto warszawskie, Józefa Finkelsztejna-Lewartowskiego, nazajutrz po rozpoczęciu deportacji do Treblinki, tzn. 23 lipca 1942 r. Postulat taki wysunął Lewartowski na zorganizowanej z jego inicjatywy konferencji reprezentantów wszystkich większych grup żydowskich, lecz został on odrzucony.

„Niestety, cała opinia publiczna była przeciw nam — napisze po wojnie Marek Edelman z Bundu, jeden z tych, którzy stali na czele zbrojnego zrywu w kwietniu 1943 r. — Ogół uważa wystąpienie takie za prowokacyjne, przekonuje, że jeżeli Żydzi spokojnie dostarczą wymaganego kontyngentu, reszta getta pozostanie na miejscu. Instykt samozachowawczy kieruje powoli psychikę ludzi na drogę ratowania siebie, choćby za cenę innych. Nikt z nich nie wierzy jeszcze wprawdzie, że wysiedlenie to śmierć. Ale Niemcom udało się już podzielić ludność żydowską na dwie części — jedną skazaną na śmierć, drugą mającą nadzieję utrzymania się przy życiu. I powoli, z czasem potrafią Niemcy wygrać tak jedną część przeciwko drugiej, że dojdzie do tego, że Żydzi jedni drugich poprowadzą na śmierć, byle tylko

¹² * Wszystkie trzy cytaty za dokumentami przytoczonymi przez Bernarda Marka w książce *Powstanie w getcie warszawskim*. Warszawa 1963, s. 181 i 184—185.

uchronić swoje własne życie." *¹³*

**

I tak się stało. W okresie od 22 lipca do 21 września 1942 r. z getta w Warszawie wywieziono do komór gazowych Treblinki ponad 300 000 Żydów. Tę gigantyczną robotę wykonała Żydowska Służba Porządkowa pod kierownictwem adwokata Jakuba Lejkina, który w miesiąc po jej zakończeniu został zastrzelony przez ŻOB. Żydowscy policjanci blokowali poszczególne kwartały domów, wyciągali mieszkańców, pędzili ich na Umschlagplatz. Niemcy trzymali się na uboczu. Prób zorganizowanego oporu nie było. Przyczyniła się również do tego Rada Żydowska, wydając w dwa dni po rozpoczęciu deportacji obwieszczenie, mające przeciwdziałać krążącym w getcie pogłoskom na temat miejsca, do którego kieruje się naprawdę transporty z placu przy Stawkach. W punkcie pierwszym stwierdzało ono, że przesiedlenie ludności, która nie jest produktywna w dzielnicy żydowskiej w Warszawie, nastąpi rzeczywiście na tereny wschodnie; w punkcie drugim wzywano Żydów, by nie ukrywali się, bo to „utrudniałoby wykonanie zadania”; wreszcie w punkcie trzecim apelowano do nich, by zgłaszali się dobrowolnie na punkt zborny. W kilka dni później apel ten wzmocniono obwieszczeniem obiecującym, że ci, którzy sami przyjdą na Umschlagplatz, otrzymają po 3 kg chleba i po 1 kg marmolady, a ich rodziny nie zostaną rozłączone.

W rezultacie niemal dzień po dniu, dokładnie przez dwa miesiące, odchodziły ze Stawek transporty, z których każdy liczył 5000—6000 ludzi. W końcu września w getcie pozostało legalnie około 35 000 mieszkańców, w większości pracowników firm niemieckich, oraz pewna liczba, szacowana jednak na co najmniej 20 000, tzw. „dzikich”, ukrywających się w różnych zakamarkach.

„Dlaczego? — pyta w swoim dzienniku, w zapisie datowanym 15 października 1942 r., wybitny historyk żydowski, Emanuel Ringelblum. — Dlaczego nie przeciwstawiono się, kiedy rozpoczęli deportację 300 000 Żydów z Warszawy? Dlaczego dali się prowadzić jak owce na rzeź? Dlaczego przyszło to wrogowi tak łatwo, tak gładko? Dlaczego oprawcy nie ponieśli ani jednej bodaj ofiary? Dlaczego 50 esesmanów

¹³ *Getto walczy*. Łódź 1945. Cyt. za: Władysław Żarski-Zajdler *Martyrologia ludności żydowskiej i pomoc społeczeństwa polskiego*. Warszawa 1969, s. 29

(inni powiadają, że nawet mniej) przy pomocy oddziału około 200 Ukraińców i tyłuż Łotyszów mogło dokonać tego tak łatwo?" *

Nie próbujemy odpowiedzieć na te okrutne pytania.

Niewątpliwie kształtowaniu i umacnianiu takiej postawy sprzyjały warunki życia w gettach, które zaczęto tworzyć już w 1939 r.: w październiku w Piotrkowie Trybunalskim, w grudniu w Puławach i w Radomsku.

Panowała w nich potworna ciasnota. W Warszawie, gdzie getto zamknięto 15 listopada 1940 r., ponad 400 000 ludzi, czyli trzecią część mieszkańców stolicy, stłoczono na obszarze stanowiącym zaledwie 4,5 procent jej powierzchni. Po kilku miesiącach, w wyniku likwidacji gett w miastach i miasteczkach dystryktu warszawskiego, liczba ta wzrosła do prawie pół miliona. Zagęszczenie na jedną izbę dochodziło do dwudziestu osób.

Straszliwe żniwo zbierały w gettach nędza i głód. Na kartki Żydzi praktycznie biorąc otrzymywali jedynie chleb, po 750 g tygodniowo, a i to nie zawsze. W teorii przydział składał się jeszcze z 22 dkg cukru, 1 kg marmolady i 0,5 kg sztucznego miodu na miesiąc, ale była to czysta teoria. Ceny na czarnym rynku osiągały więc horrendalną wysokość.

W getcie warszawskim z głodu i chorób zmarło około 100 000 osób. Zdarzały się wypadki kanibalizmu.

A jednocześnie — co ze zrozumiałą goryczą wspominają wszyscy, którzy przez to getto przeszli — istniały tam wytworne restauracje (jak „Palais de Dance” braci Frontów) oferujące szampana i łososia, organizowano konkursy piękności, rewie, występy popularnych aktorów, funkcjonowały salony gry, brylowała złota młodzież rozparta w rykszach ciągnionych przez jej wychudzonych niczym szkielety rówieśników; główną bramą, pod okiem przekupionych żandarmów, wjeżdżały do getta kolumny ciężkich wozów wyładowanych żywnością, drogimi trunkami, francuską bielizną, greckim tytoniem; zbijali fortuny szefowie szmuglerskich gangów.

Oczywiście podobnie było po drugiej stronie muru. Ale tam, mimo terroru i ogromnych obszarów nędzy, nie widziało się jednak leżących na chodnikach i przykrytych gazetami zwłok ludzi zmarłych z głodu. Ponadto w getcie wszystko to było skoncentrowane w małej części miasta, odizolowanej od zewnątrz, co te przejawy luksusu, z jakiego przez pewien czas mogli korzystać niektórzy mieszkańcy „Jiidischer Wohnbezirk in Warschau”, uwidaczniało w sposób szczególnie

jaskrawy.

Ilu takich było? Przewodniczący Rady Żydowskiej w Warszawie, inż. Adam Czerniaków, szacował, że u schyłku 1941 r. w getcie warszawskim znajdowało się 10 000 kapitalistów, 250 000 ludzi żyjących z pracy oraz 150 000 utrzymujących się z głodowych zapomóg opieki społecznej.

Autor tego rachunku był postacią tragiczną, której ocena do dziś budzi kontrowersje. Jego osoba symbolizuje straszliwą klęskę, jaka spotkała tych spośród żydowskich przywódców, którzy łudzili się, że lojalna postawa Żydów wobec okupanta umożliwi im przetrwanie. Gdy dostrzegł, że czas tej klęski nadchodzi, wybrał zło — jego zdaniem — mniejsze: nie mogąc uratować wszystkich, próbował ratować inteligencję i dzieci. Lecz i to mu się nie powiodło.

W chwili zamknięcia bram getta inż. Adam Czerniaków — od września 1939 r. z nominacji Stefana Starzyńskiego prezes Gminy Wyznaniowej Żydowskiej — miał 60 lat. Całym swym życiem był zrośnięty z Polską. Już w 1909 r. cierpiał za nią jako więzień caratu, w dziesięć lat później bronił jej niepodległości, służył jej na różnych stanowiskach. Był senatorem RP, dyrektorem Instytutu Rozrachunkowego Handlu Zagranicznego. Ale nie zapominał również o środowisku, z którego wyszedł: pisał do żydowskich gazet, sprawował prezesurę Związku Rzemieślników Żydów w Polsce.

Na swym posterunku w getcie, o którym historycy piszą dzisiaj, że było to najtrudniejsze jawne stanowisko publiczne w okupowanej Polsce, inż. Czerniaków wytrwał do chwili, w której uznał, że dalsze na nim pozostawanie będzie oznaczało współpracę z wrogiem w dziele zagłady jego współbraci. Chwila ta nadeszła 23 lipca 1942 r.

Gestapo zażądało wówczas od inż. Czerniakowa przygotowania na dzień następny transportu dzieci. Gdy pozostał sam, napisał dwa listy: do żony i do Rady Żydowskiej, po czym zażył truciznę.

„Żądają ode mnie, bym własnymi rękami zabijał dzieci mego narodu — napisał w pierwszym z tych listów. — Nie pozostaje mi nic innego jak umrzeć.”

Światowej sławy uczoney, -prof. Ludwik Hirszfild, który półtora roku spędził w getcie i miał możliwość dobrze poznać Czerniakowa, tak oto pięknie o nim napisze w swych wydanych po wojnie wspomnieniach:

„Wiedział, że tylko ofiara i cierpienie mogą stworzyć legendę, która przetrwa; że trzeba umrzeć, by żyć wiecznie. Gdyby zginął z rąk

oprawców, byłby jednym z wielu. Musiał umrzeć tak, by mogła powstać legenda około cierpienia jego narodu. Przejdzie do historii jako jeden z duchów czystych, który zrozumiał, że te idee i te narody, dla których się umiera, mają prawo do życia" ^{14*}.

Marek Edelman, jeden z bohaterów walczącego getta, w wiele lat po jego śmierci nieco inaczej ją oceni

„To nie było w porządku: należało umrzeć z fajerwerkiem. Wtedy ten fajerwerk był bardzo potrzebny — należało umrzeć, wezwawszy przedtem ludzi do walki. Właściwie tylko o to mamy do niego pretensje. Ja i moi przyjaciele. Ci nieżyjący. O to, że uczynił swoją śmierć własną, prywatną sprawą. My wiedzieliśmy, że trzeba umierać publicznie, na oczach świata" ^{15*}.

No cóż, Machabeuszem inż. Czerniaków nie był, ale wtedy, w lipcu 1942 r., w warszawskim getcie żaden Machabeusz się nie ujawnił i zapewne za starym schorowanym człowiekiem nikt by nie poszedł. Czas Machabeuszów miał dopiero nadejść. Nikt jednak nie neguje jego patriotyzmu, wielokrotnie w spektakularny sposób manifestowanego **; uczciwości i odwagi cywilnej.

Czerniakowa zdążono jeszcze pochować na cmentarzu żydowskim przy ul. Okopowej. Na płycie nagrobnej wyryte są słowa Norwida:

„Więc mniejsza o to, w jakiej spocniesz urnie, bo grób twój jeszcze odemkną powtórnie, inaczej głosić będą twe zasługi..”

Inne było życie i inna śmierć następcy inż. Czerniakowa, którym został inż. Maksymilian Lichtenbaum, znany w getcie z operacji spekulacyjnych na wielką skalę. Mimo że usłużnie wykonał polecenie Niemców, czym Czerniaków nie chciał swego sumienia obciążać, 23 kwietnia 1943 r., po rozpoczęciu walk na terenie getta, esesmani zastrzelili go na Umschlagplatzu, a jego zwłoki wyrzucili na śmietnik. W tym samym dniu i w ten sam sposób zginęli pozostali członkowie prezydium Judenratu: inż. Stanisław Szereszewski, Alfred Sztolcman i adwokat Gustaw Wielikowski.

Równie żalony był kres przywódców żydowskiego „samorządu” w innych gettach. Niemal wszystkich hitlerowcy wymordowali. Nie

¹⁴ *Ludwik Hirszfeld *Historia jednego życia*. Warszawa 1957. s. 330.

¹⁵ * *Kronika getta warszawskiego*. Cyt. za: *Kronika getta*, „Życie Warszawy”, r. 1983. nr 81.

oszczędzili nawet przewodniczącego Judenratu w Łodzi, Rumkowskiego, z którym przez długi czas rozmawiali jak równi z równym, bo doceniali jego zasługi dla III Rzeszy i imponował im styl rządów w getcie.

Chaim Mordechaj Rumkowski, zwany „Chaimem Pierwszym”, przed wojną średniej rangi działacz Gminy Żydowskiej w Łodzi, długo czekał na chwilę, w której los się do niego uśmiechnie. Nastąpiło to, przynajmniej w jego przekonaniu, dopiero w październiku 1939 r., gdy mając już 70 lat został przez okupanta mianowany, ku zaskoczeniu większości swych współplemieńców, przełożonym Starszeństwa Żydów w Łodzi, stając się wkrótce panem życia i śmierci około 200 000 ludzi zamkniętych w tamtejszym getcie. Rumkowski przemienił getto w jeden wielki obóz pracy, niezwykle wydajnie realizujący zamówienia niemieckich firm zbrojeniowych. Samych tylko mundurów dla Wehrmachtu getto dostarczało 5000 dziennie. Ściśle i precyzyjnie wykonywał wszystkie polecenia, łącznie z wysyłką kontyngentów do komór gazowych w Chełmnie nad Nerem.

Wewnątrz getta Rumkowski dysponował pełnią władzy, którą sprawował w sposób autokratyczny, ustanawiając własne prawa i żelazną ręką je egzekwując. Miał własne sądownictwo, własne więzienie, własny organ prasowy „Getocajtung”, własny bank, który za bezcen skupował od mieszkańców getta wszystko, co mieli wartościowego, płacąc na dodatek emitowanymi przez Rumkowskiego „Kwitami markowymi” (tzw. rumki), które w jego królestwie stanowiły jedyne źródło płatniczy. W urzędach, w sklepach i szkołach wisiały portrety „Chaima Pierwszego”, jego podobizna widniała na wydawanych w getcie znaczkach.

W gabinecie inż. Czerniakowa, nad jego biurkiem, do końca wisiał wielki portret Józefa Piłsudskiego. Otwierając ostatnie posiedzenie Judenratu, któremu przewodniczył, Czerniaków odegrał na fortepianie *Jeszcze Polska...*

Mogłoby się wydawać, że Rumkowski powinien być powszechnie znienawidzony, ale tak nie było. Większość Żydów bowiem aprobowała jego strategię, która zasadzała się na dwóch logicznych według nich założeniach: że dopóki są użyteczni Niemcom, dopóty nic im nie grozi i że jeśli nie można uratować wszystkich, to należy uratować choć część.

„Chaim Pierwszy" wraz z rodziną odjechał z łódzkiego getta ostatnim transportem, wysłanym stamtąd 29 sierpnia 1944 r. Lecz nie do Chełmna, jak poprzednie, ale do Oświęcimia. Prosto z rampy poszedł do gazu. Jeśli zdążył zobaczyć widniejące nad oświęcimską bramą hasło „Arbeit macht frei", to zapewne pomyślał, że podporządkowując podobnemu hasłu: „Praca czyni żywym" całe swoje infernalne królestwo, popełnił straszliwą omyłkę.

W cieniu tych dwóch ludzi — Czerniakowa i Rumkowskiego — usiłujących w tak odmienny sposób sterować losami największych skupisk Żydów w Polsce, wpisywali się w historię ich zagłady inni, wprawdzie pomniejsi, lecz także przez pewien okres wyposażeni w szerokie uprawnienia. Różne to są wpisy, bo i ich autorzy byli różni.

Haniebny jest wpis, jaki pozostawił po sobie Mojżesz Merin, przewodniczący Centralnej Gminy Żydowskiej Górnego Śląska, rezydujący początkowo w getcie w Sosnowcu, a później w Będzinie. Gorliwie pomagał hitlerowcom w eksterminacji własnego narodu, co nie uchroniło go przed zaduszeniem cyklonem w Oświęcimiu. Niektórzy, jak dr Jakub Wygodzki z Wilna, poszli drogą wybraną przez inż. Czerniakowa. Prezes Rady we Lwowie dr Józef Parnes kategorycznie odmówił współdziałania w wywożeniu Żydów i natychmiast został zamordowany.

Nie zawsze jednak ten podział był tak wyraźny. Zdarzało się, że krótki, bo ograniczony do czasu istnienia getta, rozdział biografii tego samego człowieka zawierał przeciwstawne treści. Przewodniczący Judenratu w Białymstoku, inż. Efraim Barasz, który podobnie jak Rumkowski uważał, że jedynym ratunkiem dla Żydów jest wydajna praca na rzecz Niemców i całkowite wobec nich posłuszeństwo, długo realizował tę linię. W czasie pierwszych wysiedleń sam na czele żydowskiej policji w getcie wyciągał ludzi z mieszkań i schronów. Później, zapewne pragnąc zaasekurować się na przyszłość, nawiązał kontakty z Podziemiem; wspierał je finansowo i zamierzał pójść do lasu, na co mu jednak zabrakło odwagi. Ale nie zabrakło mu jej wówczas, gdy zrozumiał, że zblądził, sam zgłosił się na wyjazd do Treblinki. Wysłano go tam pierwszym transportem.

Rady i Gminy Żydowskie (czy Rady Starszych, bo różnie je nazywano, choć określenie „Judenrat" pojawiało się najczęściej) stanowiły w rękach okupanta narzędzie, za pomocą którego utrzymywał on w gettach ład i spokój, czuwał, by zatłoczone dzielnice

żydowskie nie stały się rozsądnymi chaosu, anarchii i epidemii, eksploatował darmową siłę roboczą, grabił wszystko, co miało dla niego jakąkolwiek wartość, a wreszcie — gdy przyszedł czas — przemiescił Żydów z gett do komór gazowych.

W zakres kompetencji Rad i Gmin Żydowskich wchodziły: aprowizacja, opieka społeczna, pomoc lekarska, szkolnictwo, sprawy porządku i bezpieczeństwa wewnątrz getta, niekiedy wymiar sprawiedliwości i więziennictwo. Odpowiadały za stan sanitarny powierzonego im terenu, za działalność zakładów pracujących dla Niemców, wykonywały wszystkie polecenia władz okupacyjnych. Członkowie Judenratów zadania te skrupulatnie wykonywali, wierząc do końca, że dzięki temu zdołają wraz z mieszkańcami gett przeżyć wojnę.

Ta postawa, w pełni aprobowana przez żydowskich ortodoksów, sprawiła, iż w gettach — wyłączając Warszawę, w pewnym stopniu Białystok i w minimalnym stopniu kilka innych miast — zorganizowana działalność Podziemia nie istniała. Natomiast rozwinęła się ona w Warszawie, gdzie po zamknięciu getta podjęły ją liczne grupy konspiracyjne, złożone głównie z członków i sympatyków przedwojennych partii i organizacji żydowskich oraz w zasadzie kontynuujące ich politykę. Wachlarz tych ugrupowań był tak szeroki, że wymienimy tylko najważniejsze z nich.

Główną ostoją ortodoksów była konserwatywno-mieszczańska „Aguda”. Ruch syjonistyczny, widzący przyszłość Żydów we własnym państwie narodowym, jakie powinno powstać w Palestynie, dzielił się na kilka odłamów, z których najbardziej znaczącą rolę odgrywały dwa: radykalna partia robotnicza Poalej Syjon Lewica i umiarkowana, należąca do II Międzynarodówki, Poalej Syjon Prawica. W opozycji do syjonistów znajdował się socjalistyczny Bund, cieszący się znacznym poparciem mas żydowskich i mający wśród nich duży autorytet. Bund zarówno przed wojną, jak i podczas okupacji blisko współpracował z PPS, a jego naczelną tezę programową głosiła, że ojczyzną polskich Żydów jest Polska.

Poważnym wzmocnieniem dla syjonistów były pozostające pod ich wpływami organizacje młodzieżowe, wykazujące bardzo dużą prężność i aktywność. Przede wszystkim wymienić tu należy żydowskie harcerstwo „Haszomer Hacair” („Młody Strażnik”). Wspólnie z organizacją „Hechaluc” („Pionier”), której patronowały wszystkie

żydowskie ugrupowania, przygotowywało ono młodzież do emigracji, pracy w palestyńskich kibucach oraz do budowy tam żydowskiego państwa. Odębnej żydowskiej partii komunistycznej w latach międzywojennych w Polsce nie było. Żydzi--komuniści należeli do Komunistycznej Partii Polski lub komunistycznych partii Zachodniej Ukrainy i Zachodniej Białorusi.

Mnogość tych ugrupowań sprawiła, że pierwszy okres konspiracji w getcie cechowało — podobnie zresztą jak za jego murami — duże rozproszenie inicjatyw. Odżyły stare spory i waśnie, występujące zwłaszcza przy dystrybucji przychodzących z zewnątrz darów oraz wtedy, gdy należało wyłonić — choćby dla rozmów z przedstawicielami Polski Podziemnej — ludzi, którzy mieliby prawo wypowiadać się w imieniu całej żydowskiej konspiracji. Ze względu na to, że o consensus — jak to dziś się pisze — w tej sprawie było bardzo trudno, praktyka wyglądała tak, że poszczególne ugrupowania w getcie utrzymywały więź z tymi konspiracyjnymi organizacjami politycznymi i społecznymi poza gettem, które ideowo były im bliskie. O walce zbrojnej w ogóle w tym okresie nie mówiono, ograniczając się do organizowania pomocy dla getta i wysyłaniu w świat informacji o coraz cięższym losie polskich Żydów.

Sytuacja zaczęła się zmieniać dopiero w 1942 r. W marcu nastąpiło zjednoczenie kilku organizacji lewicowych, które utworzyły Blok Antyfaszystowski. Istotną rolę w jego zawiązaniu odegrali dwaj przedstawiciele nowo powstałej PPR, czołowi działacze byłej KPP, którzy przybyli wówczas do Warszawy ze Związku Radzieckiego: Józef (Aron) Finkelsztein-Lewartowski oraz Pinkus Kartin, oficer Międzynarodowej Brygady im. J. Dąbrowskiego, walczącej podczas wojny domowej w Hiszpanii. PPR miała w tym czasie w getcie silne oparcie. Według obliczeń, przytoczonych przez Teresę Prekerową, w połowie 1942 r., gdy cała warszawska organizacja PPR. wyłączała getto, skupiała około 400 członków, za murami getta było ich około 500.^{16*}

W październiku, a więc już po wywiezieniu ponad 300 000 Żydów, na szerszej platformie politycznej powstał Żydowski Komitet Narodowy, w skład którego prócz ugrupowań tworzących Blok

¹⁶ Teresa Pokerowa dz. Cyt., s. 33-34..

Antyfaszystowski, weszły niemal wszystkie, z wyjątkiem Bundu, organizacje podziemne getta. ŻKN. mimo że należała doń działająca na terenie getta grupa PPR. w pełni podporządkował się pod względem cywilnym Delegaturze Rządu, a pod względem wojskowym — Armii Krajowej. Wreszcie w listopadzie tego roku powstała w getcie tzw. Komisja Koordynacyjna ŻKN i Bundu, co wprawdzie nie doprowadziło do pełnej integracji żydowskiego Podziemia, lecz wyłoniło — przede wszystkim na użytek kontaktów zewnętrznych — jego wspólną, aprobowaną przez wszystkich reprezentację.

Jest znamienne, że doszło do tego dopiero po rozpoczętych w lipcu, a trwających do września, deportacjach, po których w znacznie okrojonym getcie zostało zaledwie kilkadziesiąt tysięcy ludzi. Tłumaczyć to chyba należy tym, że w ogromnej większości byli to ludzie sprawni umysłowo i fizycznie, którzy w odróżnieniu od wywiezionych z getta rzesz trzeźwo oceniali sytuację i rozumieli, że jeśli chcą uzyskać choć nikłą szansę przetrwania, to muszą działać wspólnie. Niedaleka przyszłość miała potwierdzić słuszność tej decyzji. W lipcu 1942 r. apele Bloku Antyfaszystowskiego, nawołujące do stawiania oporu wkraczającym do getta Niemcom, nie przyniosły żadnego skutku. W styczniu i kwietniu 1943 r. było inaczej. Skalę i przyczyny tej ogromnej przemiany najlepiej chyba scharakteryzował prof. Ludwik Hirszfild. Zacytujmy jego opinię, bo powojennym pokoleniom Polaków, nie znającym psychiki i mentalności żyjących w naszym kraju Żydów, wiele ona wyjaśnia.

„Osiemnaście wieków temu — pisał prof. Hirszfild — w ciasnym wąwozie pod Kafarnaum garstka Żydów pod wodzą Bar-Kochby stawiała desperacki opór rzymskim legionom. Do dziś istnieje w tym obozie twierdza wykuta rękami ostatnich wojowników żydowskich. Ostatnich — bo przez osiemnaście długich stuleci Żydzi jako naród nie walczyli orężnie. Prowadzili żywot tułaczy, byli komornicą narodów. I jak komornicy nie przywiązywali się do dachu, który ich chronił, bo nie mieli własnego domu, nigdzie nie byli p r a w n y m i gospodarzami, wyrzucani z jednych krajów, chronili się do innych. Poniewierani bronili się ucieczką, pieniędzmi, podstępem. Nigdy bronią.

Przyszła pierwsza fala likwidacji getta. Na rzeź poszły tysiące, biernie, bez oporu. Jeden szczeniak niemiecki prowadził setki ludzi i nikt z nich nie odważył się skoczyć mu do gardła!

Przedtem, kiedy jeden z Żydów szukał w getcie dziesięciu, aby

stworzyć bojówkę, nie znajdował ich (...) Każdy zagadnięty miał żonę, dzieci, obowiązki, każdy posiadał jakieś zabezpieczenie. Nikt nie chciał ginąć za innych.

Nie znalazło się wtedy dziesięciu sprawiedliwych w tym mieście skazanym na zagładę.

Tak było rok temu. Ale pod wpływem nadludzkiej straszliwej męki Żydzi zrozumieli, że śmierć nie jest najważniejsza, że dużo ważniejsza jest sprawa: jak się umiera i za co?

Dlatego też, kiedy przyszła godzina drugiej i ostatniej likwidacji getta, bojowcy żydowscy zdecydowali w imieniu całego społeczeństwa żydowskiego, iż umrą z bronią w ręku.

Nie mieli oni złudzeń co do wyniku desperackiej walki. Żydzi musieli zginąć, ale nie śmiercią nędzną, nikomu niepotrzebną, lecz śmiercią w obronie godności ludzkiej i własnego honoru.

Postanowili iść śladami Bar-Kochby." ^{17*}

Przed kataklizmem, który latem 1942 r. spadł na warszawskie getto, jego specyfikę stanowił bystry nurt podziemnej pracy oświatowej i kulturalnej. Działo konspiracyjne szkolnictwo nie tylko na szczeblu podstawowym, lecz i średnim, trwały wykłady i zajęcia dla młodzieży starszej prowadzone przez profesorów wyższych uczelni.

Istniał nawet, w co trudno uwierzyć, tajny Wydział Lekarski zorganizowany i prowadzony równoległe z dozwolonym przez Niemców przeciwepidemicznym kursem sanitarnym przez profesora UW, dr. Juliusza Zweibauma. Wykładowcami byli wybitni uczeni, wśród nich prof. Ludwik Hirszfeld, który kierował w getcie legalnie istniejącą Radą Zdrowia, ofiarnie walcząc z epidemiami. Prof. Hirszfeld kontynuował również badania naukowe, których plonem był między innymi wstrząsający dokument opracowany pod jego kierownictwem przez 22 lekarzy noszący tytuł *Choroba głodowa. Badania kliniczne nad głodem wykonano w getcie warszawskim w roku 1942*. Wszyscy autorzy tej pracy — z wyjątkiem profesora — zginęli w getcie, lecz wyniki ich badań ocalały i w 1946 r. wydano je drukiem w Stanach Zjednoczonych.

Spośród przeszło 500 młodych ludzi, którzy studiowali na Wydziale Lekarskim w getcie, około 50 zgłosiło się po wojnie po odpowiednie zaświadczenia. Reszta zginęła.

¹⁷ Ludwik Hirszfeld *dz. cyt.*, s. 387

Działała aktywnie Żydowska Organizacja Kulturalna (JKOR), staraniem której odbywały się odczyty naukowe, wieczory dyskusyjne i literackie, koncerty. Istniały podziemne teatry, było kilka chórów, ukazywały się nielegalne wydawnictwa. Łączną liczbę periodyków nielegalnie wydawanych w warszawskim getcie w latach 1940—1942 szacuje się na ponad 40 tytułów. Stanowiły one skuteczną przeciwwagę dla przysyłanej przez Niemców z Krakowa „Gazety Żydowskiej”, specjalizującej się w judzeniu Żydów przeciw Polakom. Wydano kilka antologii poezji oraz kilka dramatów.

Światowy rozgłos zyskał zbiór utworów poetów getta *Z otchłani*, wydany konspiracyjnie wiosną 1944 r. — a więc już wtedy, gdy getto nie istniało — staraniem Rady Pomocy Żydom. Antologia ta, opracowana przez łódzkiego publicystę i literata, a jednocześnie działacza RPŻ Tadeusza Sarneckiego, po zmikrofilmowaniu dotarła kurierskim szlakiem AK do Wielkiej Brytanii i jesienią 1944 r. zawarte w niej wiersze wydrukowała prasa nowojorska. Wiosną 1945 r. wydano je w USA, w pięknej szacie graficznej, pt. *Poezja getta — Z Podziemia żydowskiego*, poprzedzone przedmową Józefa Wittlina. Wiersze jeszcze przed zakończeniem wojny doczekały się kilku tłumaczeń na język francuski i hebrajski.

Ta wielokierunkowa działalność, pozwalająca udrczonym ludziom, którzy w niej uczestniczyli, czuć się choć przez pewien czas ludźmi wolnymi, stanowiła niewątpliwą zasługę żydowskiego Podziemia. Niewiele z niej zostało, lecz w niczym to zasługi tej pomniejszyć nie może.

Załączek pierwszej żydowskiej organizacji zbrojnej (początkowo „Świt”, a od 1942 r. Żydowski Związek Wojskowy) powstał w getcie już w końcu grudnia 1939 r. Około 40 osób, w tym 5 kobiet, złożyło wtedy w obecności rabina uroczystą przysięgę. ŻZW składał się niemal wyłącznie z ludzi znających służbę wojskową; kadre jego stanowili oficerowie i podoficerowie WP, żołnierze Września. Do powstania ŻZW walnie przyczyniły się dwa działające i utrzymujące łączność z gettem ugrupowania konspiracyjne Polski Walczącej: Organizacja Wojskowa i Zbrojne Wyzwolenie, które po okresie ścisłej współpracy połączyły się, tworząc trzon organizacji znanej jako OW-KB (Organizacja Wojskowa-Kadra Bezpieczeństwa), podporządkowanej później AK i ostatecznie przekształconej w Korpus Bezpieczeństwa. Komendantem ŻZW był por. rez. Mieczysław Apfelbaum („Kowal”), z

którym z ramienia OW-KB blisko współpracowali dwaj oficerowie, Henryk Iwański („Bystry”) i Tadeusz Bednarczyk („Bednarz”). „Bystry” był dowódcą grupy bojowej, specjalnie wydzielonej do kontaktu z gettem.

Według niektórych relacji o powstaniu ŻZW został poinformowany inż. Czerniaków. Mieli go o tym powiadomić przedstawiciele KG OW-KB w styczniu 1940 r. podczas spotkania w gmachu sądów przy Lesznie. W spotkaniu tym uczestniczyła córka gen. Sikorskiego, Zofia Leśniowska, która w kilka dni później wyjechała z Polski przez Włochy do Francji. Jej obecność wynikała z tego, że OW-KB była z Sikorskim szczególnie blisko związana i powstała z jego mandatu. Czerniaków negatywnie ustosunkował się do faktu powstania ŻZW, twierdząc, że jeszcze nie czas, by Żydzi zbrojnie przeciwstawiali się Niemcom, i wyrażając obawę, że wejście na tę drogę będzie miało dla całej społeczności żydowskiej fatalne skutki. Niemniej utworzenie ŻZW przyjął do wiadomości, zapewnił swoją pomoc i podobno wyraził gotowość przystąpienia do organizacji. Na temat tego, czy został członkiem ŻZW, zdania są podzielone. Gwoli prawdy trzeba dodać, że zdania są podzielone także i co do tego, czy to spotkanie w gmachu sądów rzeczywiście się odbyło. Tak piszą autorzy, wywodzący się ze środowiska OW-KB, ale inni temu przeczą.

W końcu października 1942 r., niemal natychmiast po swoim ukonstytuowaniu się, ŻKN powołał drugą organizację zbrojną getta, lepiej dziś zresztą znaną niż ŻZW, mianowicie Żydowską Organizację Bojową. Dnia 2 grudnia 1942 r. oficjalnie przyjęto jej statut, który jako dwa główne cele wytyczał: „a. Zorganizowanie obrony getta w wypadku dalszej akcji przesiedleńczej; b. Ochronę mas żydowskich getta przed najemnikami i sługusami okupanta”. Komendantem ŻOB został 24-letni Mordechaj Anielewicz, członek naczelnej komendy Haszomer Hacair. ŻOB miała swych stałych przedstawicieli po stronie „aryjskiej”, przez których utrzymywała łączność zarówno z AK, jak i GL.

Stany liczbowe obydwu organizacji zmieniały się i różnie są dziś szacowane, nigdy jednak nie przekroczyły one — bez ochotników, którzy przyłączyli się do grup bojowych podczas walk w getcie — 400-500 ludzi w każdej z nich. Uzbrojenie jednej i drugiej było słabe, ale ŻZW pod tym względem wyraźnie górował nad ŻOB.

Główna różnica między ŻZW a ŻOB sprowadzała się do tego, że

choć ŻZW twierdził o sobie, iż jest organizacją apolityczną, co miało wynikać z jego wojskowego charakteru i z faktu, że został utworzony przez oficerów i podoficerów WP, w rzeczywistości, po wchłonięciu wielu członków prawicowo-syjonistycznej organizacji młodzieżowej Betar, zaczął ulegać jej wpływowi, natomiast ŻOB zrzeszała przede wszystkim młodzież robotniczą ze środowisk lewicowych bądź zbliżonych do lewicy, czego zresztą nie uzewnętrzniała w swej działalności, koncentrując ją na sprawach walki.

Obie organizacje walczyły z niemieckimi agentami i gettową policją, oficjalnie zwaną Żydowską Służbą Porządkową, która w miarę upływu czasu poczyniała sobie coraz brutalniej. Trafnie ją scharakteryzował Władysław Szpilman, popularny kompozytor muzyki rozrywkowej, w swych wydanych po wojnie wspomnieniach:

„W jej skład wchodziła przeważnie młodzież z warstwy zamożnej, mieliśmy wśród nich sporo znajomych (...) Z chwilą włożenia mundurów, nadziania na głowę policyjnych czapek i dostania pałek do ręki podleli. Ich największą ambicją stawało się nawiązanie stosunków z gestapowcami, wysługiwanie się im, paradowanie z nimi wzdłuż ulic, popisywanie się znajomością języka niemieckiego i licytowanie się w srogości metod stosowanych wobec żydowskiej ludności”¹⁸.

Było ich w warszawskim getcie około 2500. Niemiliosiernie łupili jego mieszkańców, ściągali z nich okupy, bili pałkami, pędzili na śmierć. Stawali się coraz groźniejsi. Zamach na ich komendanta, płk. Józefa Szenkmana-Szeryńskiego, przed wojną inspektora Policji Państwowej, był pierwszym zbrojnym zamachem wykonanym przez Żyda w getcie warszawskim. Dnia 25 sierpnia 1942 r., jeszcze w czasie trwania deportacji, strzelał do niego Izrael Kanał, ale tylko go zranił. Starczyło to jednak, by Szeryński zniknął z widowni. Od tego dnia nikt go już w getcie nie widział. Podobno wyrok wydany na niego sam wykonał. W końcu października 1942 r. został zastrzelony, jak już wspominaliśmy, zastępca Szeryńskiego, Jakub Lejkin. Po nim zlikwidowano jeszcze kilku innych. Policjanci nie mieli monopolu na zbrodniczą

działalność, więc sięgnięto po innych. Znany agent gestapo, dr

¹⁸ Śmierć miasta. Pamiętniki 1939-1945., Warszawa 1946. s. 82.

Alfred Nossig, został zastrzelony we własnym mieszkaniu przy ul. Muranowskiej; kierownika wydziału gospodarczego Judenratu, Izraela Firsta — który jako „ekspert” Sztabu Wysiedleńczego (Umsiedlungsstab) żarliwie pomagał Niemcom w deportacjach — zastrzelono w rykszy, gdy wracał z eskapady ze strony „aryjskiej”.

Lista ta jest bardzo długa. Widnieją na niej również Niemcy, jak choćby esesman zastrzelony 11 lutego 1943 r. na Nalewkach, czy dwóch żandarmów, których w tydzień później zabito na terenie getta.

Obydwie te śmiałe akcje wykonały patroli ŻZW, przy okazji poprawiając nieco stan swego uzbrojenia.

Równie haniebna jak w Warszawie była postawa żydowskich policjantów w innych gettach. Oto opinia na ten temat świadka bardzo kompetentnego, bo cytowanego już dr. Aleksandra Biebersteina, odnosząca się do getta w Krakowie:

„Przez cały okres okupacji Ordnungsdienst było narzędziem w rękę gestapo; na jego polecenie odemani wykonywali bez zastrzeżeń najpodlejsze czynności, prześcigając często bezwzględnością Niemców. To oni wyciągali Żydów z mieszkań, ponagляjąc ich krzykiem, a często i biciem do wysiedlenia. To oni na podstawie list imiennych, sporządzonych przy ich pomocy i pomocy innych donosicieli, zapełniali cele swego więzienia. Oni konwojowali transporty wysiedlonych, oni na własną rękę dokonywali rewizji mieszkań w poszukiwaniu »nieprawnie« przebywających. Z biegiem czasu Ordnungsdienst stało się tworem strasznym, uzurpującym sobie władzę nad Żydami” *.

Nagroda dla policjantów za tę służalczość wobec Niemców i nadgorliwość w znęcaniu się nad współziomkami miało być darowanie im życia po likwidacji getta. Odemani z Krakowa otrzymali nawet paszporty, mające rzekomo umożliwić im wyjazd za granicę. Po likwidacji getta w Krakowie zostali w swej siedzibie i siedząc na walizkach i tobołach wypchanych zrabowanym mieniem czekali, zgodnie z solenną obietnicą gestapo, na przyjazd autobusu, który zawiezie ich na dworzec. Autobus istotnie przyjechał. Zabrał ich wszystkich, jak pisaliśmy, na miejsce kaźni w Płaszowie.

Jedynie w getcie warszawskim sami Żydzi przystąpili do rozrachunku z tymi kanałiami. Zapewne trochę podobnych akcji likwidacyjnych jak w Warszawie można by znaleźć w dziejach innych gett, byłoby to jednak trudne, bo dziejów tych — z nielicznymi

wyjątkami — nikt nie spisywał/a ci, którzy je współtworzyli, odeszli wtedy, gdy ginął ich świat i żadnej relacji już nam nie przekażą. Jest jednak pewne, że również pod względem liczby akcji zbrojnych, przeprowadzanych przez Żydów zamkniętych w gettach. Warszawa zdecydowanie przodowała. Wszakże z jednym wyjątkiem. Otóż wszystkie te akcje miały charakter aktywnej samoobrony, wszystkie też były wykonywane wewnątrz getta; natomiast jedyny przypadek wyjścia żydowskiej grupy bojowej poza getto i włączenia się jej do walki toczonych poza jego murami zaistniał w Krakowie. Kilku takich wypadków dokonała w końcu 1942 r. istniejąca w getcie krakowskim i podporządkowana GL grupa „Iskra”, którą dowodził Bernard Halbrajch. W listopadzie spaliła ona garaż z trzema niemieckimi samochodami ciężarowymi przy ul. Włóczków, 22 grudnia po opanowaniu niemieckiego magazynu stoczyła walkę z Niemcami, którzy ją tam otoczyli, i przebiła się przez ich pierścień, zabijając oficera Luftwaffe oraz jednego z żandarmów. W Wigilię wykonała ona najgłośniejszą swą akcję: zespół pod dowództwem Idki Libera wrzucił kilka wiązek granatów do „Cyganerii”, lokalu rozrywkowego „nur fur Deutsche” przy ul. Szpitalnej, w wyniku czego kilkunastu Niemców zostało zabitych i rannych. Lecz była to już akcja ostatnia. Gestapo, które chwyciło ślad „Iskry”, aresztowało większość jej członków. Jeden z dowódców, Adolf Liebeskind, osaczony na ul. Żuławskiego, zabił dwóch Niemców, a ostatni pocisk przeznaczył dla siebie. Wykryto bunkier grupy na terenie getta; dwaj jego obrońcy zginęli w walce, kilku ujęto. Wszystkich zaaresztowanych zamordowano, a „Iskra” przestała istnieć.

W tym czasie w Warszawie grupy bojowe ŻZW i ŻOB koncentrowały się na przygotowaniach do dnia, który już nadchodził. Poprzedziło go krwawe preludium, do którego doszło w poniedziałek 18 stycznia 1943 r., gdy wczesnym rankiem, przy mrozie sięgającym 20 stopni, wkraczający do getta esesmani i żandarmi, wsparci policją granatową i pozostającymi w niemieckiej służbie oddziałami Ukraińców, Litwinów i Łotyszów, zostali powitani gęstym ogniem. Zaciekle walki, toczone na ulicach, w podwórzach i wewnątrz budynków trwały przez cały dzień i część dnia następnego. Główny ich ciężar dźwigały wówczas nieźle uzbrojone grupy ŻZW. Niemcy nie wykonali swego zadania. Zamiast kilkunastu tysięcy wysłali do Treblinki (nie tylko w tym dniu, lecz również w kilku następnych)

około 6000 osób i wycofali się, zabierając kilkudziesięciu rannych i zabitych. Podobne straty poniosła policja żydowska. Strat obrońców nikt nie liczył, lecz były nieproporcjonalnie większe, gdyż hitlerowcy wprowadzili do akcji dwie pełne kompanie SS uzbrojone w ciężką broń, które po złamaniu oporu grup bojowych dokonały masakry ludności cywilnej.

O walce, której płomień ogarnął getto niemal dokładnie w trzy miesiące później, w Wielki Poniedziałek 19 kwietnia 1943 r., napisano już tyle, że wszystko, co moglibyśmy o niej powiedzieć, byłoby powielaniem innych relacji i opracowań. Przypomnijmy więc tylko, że również i tym razem w obronie warszawskiego getta stanęło zaledwie około tysiąca zorganizowanych, dowodzonych i jako tako uzbrojonych członków ŻOB i ŻZW oraz prawdopodobnie drugie tyle wolontariuszy ^- tragarzy, furmanów, szmuglerów, wyrostków. A przecież znajdowało się wówczas w getcie co najmniej 60 000 Żydów. Liczebność skierowanych przeciw gettu oddziałów niemieckich, choć nie można jej dokładnie ustalić, nie była o wiele większa od połączonych sił ŻOB i ŻZW, lecz składały się one z doborowych, po zęby uzbrojonych żołnierzy, wspartych artylerią i bronią pancerną. W każdej też chwili mogły być one zwiększone. Według raportu Stroopa, jego straty wyniosły 49 zabitych i 79 rannych, choć możliwe, że hitlerowski dowódca nieco je zaniżył. Z płonącego getta zdołało wyjść około 100 członków grup bojowych. Reszta zginęła. Razem z 60 tysiącami cywilów.

Cytowany już dr Marek Edelman, chyba ostatni z pozostałych przy życiu walczących w getcie dowódców ŻOB. stawia pytanie:

„Czy to w ogóle można nazwać powstaniem? — i sam tak na nie odpowiada: — Chodziło przecież o to, żeby się nie dać zarznąć, kiedy po nas z kolei przyszli. Chodziło tylko o wybór sposobu umierania”¹⁹.

Jeden z poetów getta, Władysław Szlengel, który zginął w pierwszych dniach walk, w wierszu napisanym bezpośrednio po styczniowym starciu zawarł taką strofę:

*Jak purpurowe, krwiste kwiaty
z Niskiej i Miłej, z Muranowa
wykwita płomień z naszych łuf
to wiosna nasza, to kontratak...*

¹⁹ Hanna Krall dz. cyt., s. 12

Kontratak. Taki też jest tytuł tego wiersza. W kwietniu kontratak ten ponowili ze zwielokrotnioną siłą. Nie dali się zarząnąć. Zaatakowali pierwsi. Zginęli w walce. Czy to było powstanie? Może w tym mieści się odpowiedź. I więcej na ten temat nie mówmy.

Wybitny chirurg, prof. dr Franciszek Raszeja, kierownik Kliniki Ortopedycznej Uniwersytetu Poznańskiego, był w czasie okupacji ordynatorem oddziału chirurgicznego szpitala PCK w Warszawie przy ul. Smolnej. Za pośrednictwem przebywającego w getcie swego dawnego asystenta, dr. Kazimierza Polaka, utrzymywał stałą łączność z dzielnicą żydowską, której mieszkańcom pomagał, jak mógł: prowadził przeznaczony dla nich ośrodek krwiodawstwa, gdzie oddawała krew polska młodzież studiująca konspiracyjnie medycynę, często udawał się do getta na konsultacje. Wezwany poszedł tam 21 lipca 1942 r., w przeddzień rozpoczęcia masowych deportacji. W getcie atmosfera była już tak napięta, że przyjaciele prosili go, by tego nie czynił. Nawet policjant żydowski przy sprawdzaniu przepustki profesora dał mu do zrozumienia, że powinien się cofnąć. Profesor uznał, że jako lekarzowi nie wolno mu tak postąpić. Gdy w mieszkaniu przy ul. Chłodnej badał ciężko chorego znanego warszawskiego antykwariusza, Abe Gutnajera, wtargnęli tam esesmani rabujący zamożniejszych Żydów przed wywiezieniem ich do gazu. Prof. Raszeja, świadek tej napaści, zginął na miejscu trafiony dwoma pociskami w głowę. Po nim zabili wszystkich obecnych. Zginęli wtedy: dr Polak, pielęgniarka, Gutnajer, jego domownicy. W nekrologu, który po śmierci prof. Raszei zamieściło konspiracyjne pismo „Abecadło Lekarskie”, znalazło się zdanie: „Zginął śmiercią lekarza podczas niesienia pomocy poniżonemu i prześladowanemu za murami choremu Żydowi”.

Od pierwszych dni okupacji społeczeństwo polskie okazywało swoją daleko posuniętą solidarność współobywatelom pochodzenia żydowskiego. Jednym z pierwszych tego przykładów było stanowisko warszawskiej adwokatury wobec podjętej przez okupanta już jesienią 1939 r. decyzji o skreśleniu „niearyjczyków” z listy adwokackiej. Adwokaci, od których komisaryczny dziekan Rady Adwokackiej w Warszawie, hitlerowiec von Wendorff, zażądał opinii na ten temat, wyrazili ją w obszernym zbiorowym oświadczeniu stwierdzającym, iż władze niemieckie są organem okupanta i dlatego nie mogą zgodnie z Konwencją Haską zmieniać zasadniczych ustaw Państwa Polskiego ani wprowadzać sprzecznych z nimi postanowień prawnych. Podpisali to

oświadczenie — z jednym wyjątkiem — wszyscy. W kilka miesięcy później, przy weryfikacji członków Warszawskiej Izby Adwokackiej, ponownie każdego z nich zapytywano o tę kwestię. Przytłaczająca większość interpelowanych, bo ponad osiemdziesięciu, opowiedziała się za dopuszczeniem adwokatów-Żydów do wykonywania ich zawodu, dziewięciu nie zajęło stanowiska, wypowiedzi kilku nie dały Niemcom — jak to dyplomatycznie określi jeden z polskich prawników — „oczywistej i jawnej podstawy do zaliczenia ich do niezadowolających”. O wynikach tych rozmów powiadomiono gestapo, które w lipcu 1940 r. uwięziło na Pawiaku wszystkich adwokatów opowiadających się za dopuszczeniem adwokatów-Żydów do wykonywania ich zawodu i wkrótce znaleźli się oni w Oświęcimiu.

To stanowisko stołecznej palestry tym bardziej zaskoczyło hitlerowców, że głównymi jego rzecznikami byli czołowi działacze Związku Adwokatów Polskich, głoszący przed wojną hasło odżyczenia adwokatury. Przeciw dyskryminacji Żydów zaprotestowali wówczas także adwokaci znani ze swego antysemityzmu, jak np. działacz ONR, Jerzy Czarkowski, którego kosztowało to pięć lat obozu koncentracyjnego.

Ale w tej sprawie nie było wtedy między Polakami różnic. Stronnictwo Narodowe reprezentowało pogląd, że czym innym jest tzw. kwestia żydowska, a czym innym stosunek do ludzi szczutych i prześladowanych przez wspólnego wroga. W pierwszym wypadku, zdaniem SN, nadal obowiązują dawno wypracowane założenia programowe, z tym, że ich realizację należy odłożyć na okres powojenny, w drugim — powinnością każdego Polaka jest niesienie tym ludziom pomocy.

Działacze obozu narodowego zasadę tę realizowali w praktyce. Duże zasługi w akcji ratowania dzieci żydowskich położył znany dziś pisarz Jan Dobraczyński, w okresie okupacji członek Centralnego Wydziału Propagandy SN i redaktor Dism

Stronnictwa, a jego kolega po piórze. Władysław Jan Grabski, także blisko związany z ruchem narodowym, wraz z żoną, córką byłego Prezydenta RP Stanisława Wojciechowskiego, ukrywał w swym domu kilkoro Żydów. Niejako symbolem tej postawy był zaciekle antysemita, jeden z twórców ONR, Jan Mosdorf, który w Oświęcimiu, zanim został rozstrzelany pod murem Bloku Śmierci, ofiarnie opiekował się Żydami i dzielił z nimi wszystko, co miał, a dzięki temu, że pracował w

kancelarii — ostrzegali ich przed niebezpieczeństwem, starał się dla nich o paczki, pomagał w skierowaniu do lepszej pracy. Były więzień Oświęcimia, żydowski pisarz, Wolf Glicksman, tak o nim po wojnie napisze w prasie nowojorskiej:

„Inna znana osobistość, przedwojenny przywódca antysemitycznego ruchu młodzieżowego w Polsce, Jan Mosdorf, niejednokrotnie ryzykował życie przenosząc moje listy do krewnej znajdującej się w obozie kobiecym w Birkenau. Mosdorf pracował w Birkenau i często przynosił mi warzywa, a czasem kromkę chleba lub coś z ubrania”²⁰.

Na początku okupacji Niemcy próbowali przeciwstawić Polaków Żydom i odwrotnie. Gdy 11 listopada 1939 r. w Łodzi Niemcy wysadzili pomnik Kościuszki, sfotografowali Żydów zapędzonych do uprzątania rumowiska i reprodukowali te zdjęcia w prasie sugerując, że ten akt wandalizmu to „żydowska robota”. Nazajutrz podpalili synagogę i po sfotografowaniu gapiących się na pożar Polaków chwyt ten powtórzyli, określając podpalenie jako „polski odwet”. Później dali temu spokój, bo pojęli, że celu nie osiągną.

Przyjazna i pomocna Żydom postawa ujawniła się wyraźnie po zamknięciu gett. Często była to pomoc bezinteresowna, wyrażająca się zaopatrywaniem w żywność bądź poszczególnych rodzin, bądź żydowskich organizacji charytatywnych zajmujących się jej rozdziałem. Szczególnie wyraźnie zaznaczyła się ona w gettach prowincjonalnych, do których dostęp był łatwiejszy, choć udzielano jej również gettu w Warszawie. Jej większe, bardziej liczące się w skali zbiorowej przejawy miały z reguły charakter zorganizowany.

Kwitnął także handel z gettami. Ceny pobierane przez szmuglerów za artykuły żywnościowe były zazwyczaj wyższe niż ceny poza gettem, ale nie można się temu dziwić. Ci, którzy tym procederem zarabiali na utrzymanie, ryzykowali przecież głową. I wielu za ten handel zapłaciło życiem. Kalkulując ceny i to także brali oni pod uwagę. Mieszkańcy gett, dobrze znający się na handlu, w pełni to rozumieli. Jak i to, że jedynie spryt, przedsiębiorczość i odwaga tamtych utrzymują ich przy życiu. W wielu powojennych relacjach Żydzi, którzy ocalili, lojalnie to stwierdzają.

Mecenas Leon Berenson, wybitny polski prawnik pochodzenia żydowskiego, odważnie broniący w carskich sądach działaczy

²⁰ Władysław Bartoszewski. Zofia Lewinówna *di. cyt.*, s. 135.

niepodległościowych, wystąpił w czasie okupacji z propozycją na pierwszy rzut oka szokującą, lecz po bliższym przyjrzeniu się jej zupełnie sensowną: wzniesienia po wojnie Pomnika Nieznanego Szmuglera. W latach powojennych, których autor tego pomysłu nie doczekał, myśl podjęło grono dawnych mieszkańców gett i wydawało się, że zostanie ona urzeczywistniona. Tak się nie stało. Dodajmy, że nie zrealizowano również zrodzonego w getcie projektu powstania po zakończeniu wojny Pomnika Wdzięczności, upamiętniającego Polaków niosących Żydom bezinteresowną pomoc. Autorami projektu byli m.in. dr Janusz Korczak, aktor Michał Znicz i olimpijczyk Ilia Szrajbman, mistrz Polski w pływaniu, który poległ w walkach styczniowych 1943 r. Zachował się jedynie wykonany przez Reginę Retmanównę szkic tego pomnika nazwanego „Tym, którzy za cenę życia...” Przedstawia on bochen chleba krajany nożem z rękojeścią zakończoną Orłem Białym. To, że pomysł powstania Pomnika Nieznanego Szmuglera poważnie został wysunięty przez człowieka tej miary co mecenas Berenson, najlepiej świadczy o tym, jak życiodajną rolę odgrywali przedzierający się do gett szmuglerzy, którzy dostarczali głodującym Żydom dziesiątki ton żywności, głównie chleba, mąki i ziemniaków.

Jasne, że ta wdzięczność nie odnosi się do gangów zbijających fortuny na dostawach artykułów bynajmniej nie pierwszej potrzeby, lecz luksusowych, których odbiorcą była żydowska plutokracja. Tu jednak godzi się dodać, że organizatorami tego przemytu byli zazwyczaj sami Żydzi (w getcie warszawskim Kohn i Heller), a ich suto opłacanymi współnikami nie tylko żydowscy policjanci getta, lecz również Niemcy.

Szmugiel w zasadzie ograniczał się do żywności oraz opału. Zaopatrywano również getta w leki, szczepionki, odzież, ale tym zajmowały się organizacje podziemne. Niektóre getta — głównie warszawskie — łączyła ze stroną „aryjską” swoista więź gospodarcza: żydowscy rzemieślnicy pracowali dla polskich firm, dostarczających im surowce i materiały (np. w Warszawie skóry), a następnie tą samą nielegalną drogą odbierających gotowe wyroby. Te praktyki też były zagrożone karą śmierci. Niemniej przez pewien czas stosowano je na dużą skalę. Oczywiście, polscy przedsiębiorcy na tym nie tracili, lecz dla tysięcy Żydów pozbawionych możliwości legalnego zarobkowania kooperacja ta stanowiła ogromną pomoc.

Gettu w Warszawie dostarczano broń, amunicję, materiały

wybuchowe, prasę podziemną. Ilość broni, jaką od polskiego Podziemia otrzymało getto warszawskie, dzięki czemu ŻOB i ŻZW mogły w kwietniu 1943 r. podjąć walkę, do dziś budzi żywe spory wśród znawców tego tematu. Przeważa pogląd, że w przeddzień kwietniowego zrywu te dwie organizacje miały łącznie nie więcej niż 10 kaemów (w tym 2-3 cekaemy), 25 peemów, 20 karabinów, kilkaset (niektórzy twierdzą, że około tysiąca) pistoletów i ponad 1000 granatów. Broń ta przede wszystkim pochodziła od AK, a także od OW-KB. Nieznaczna ilość dostarczyła GL, kilkaset sztuk zakupili w Warszawie wysłannicy ŻOB i ŻZW. Ponadto obrońcy getta dysponowali niedużym, lecz ważnym dla nich zasobem bomb, min, filipinek i innych granatów własnej produkcji. Uruchomił ją i kierował jeden z przywódców Bundu, uczestnik obrony Warszawy w 1939 r., inż. Michał Klepfisz, należący do najdzielniejszych bojowników żydowskiego Podziemia, pośmiertnie (zginął 20 kwietnia 1943 r., zasłaniając własnym ciałem niemiecki karabin maszynowy, by umożliwić w ten sposób swym podkomendnym odwrót) odznaczony przez Naczelnego Wodza Srebrnym Krzyżem Orderu *Virtuti Militari*.

Z pewnością było to bardzo słabe uzbrojenie, ale pamiętajmy, że ci, którzy je gettu przekazali, też niewiele wówczas mieli broni.^{21*} Ale i to coś już znaczyło, zwłaszcza że ŻOB i ŻZW w chwili rozpoczęcia walki liczyły w grupach bojowych jedynie około 1000 ludzi. Jak bowiem wynika z przytoczonych wyżej danych dotyczących ilości broni znajdującej się w getcie — nie było wśród nich ludzi bezbronnych. Natomiast struktura tego uzbrojenia była fatalna: przy dużej liczbie pistoletów było bardzo mało broni długiej.

Gdy Żydzi podjęli walkę, polskie Podziemie czynnie ich wsparło, dokonując od 19 kwietnia do 10 maja 1943 r. kilkunastu akcji solidarnościowych w getcie bądź pod jego murami.²²

²¹ W chwili wybuchu Powstania Warszawskiego powstańcy posiadali uzbrojenie, które „(...) wystarczało na około 10 procent stanu bojowego Okręgu Warszawskiego AK, zmobilizowanego faktycznie o godzinie »W« (36 500 żołnierzy). Resztę, czyli 90 procent, trzeba było traktować jak bezbronną rezerwę personalną”. (Jerzy Kirchmayer *Powstanie Warszawskie*, Warszawa 1959, s. 143).

²² Zdania na temat liczby tych akcji do dziś są podzielone. Tomasz Strzembosz (*Akcje zbrojne podziemnej Warszawy 1939—1944...* s. 290 i 598) wyliczył ich 11 (3 GI, 5 AK, 2 SOB, 1 ML RPPS), dodając, że „co najmniej o 2 dalszych

Armia Krajowa zapewniała żydowskiej konspiracji także to, co posiadało dla niej ogromne znaczenie: łączność ze światem.

Początkowo łączność ta ograniczała się do przekazywania rządów alianckim i tamtejszej opinii publicznej dokumentacji ukazującej położenie Żydów w Polsce. Pracę tę prowadził kierowany przez znanego historyka, wówczas doktora. Stanisława Herbsta („Chrobot”), referat mniejszości narodowych istniejący w Wydziale Informacji BIP KG ZWZ-AK. następnie przejął ją utworzony zimą 1941—1942 r. w ramach tego referatu odrębny Referat Żydowski, na czele którego stał prawnik Henryk Woliński („Wacław”). Zakres działania Referatu poszerzył się od sierpnia 1942 r., gdy kierownictwo Podziemia w getcie warszawskim nawiązało oficjalny kontakt z AK.

W rozmowach z AK i z Delegaturą Rządu Podziemie to reprezentowali przedstawiciele ŻKN: działacz społeczny i polityczny, dr Adolf Berman („Borowski”), oraz przedstawiciel Bundu, adwokat z Krakowa, dr Lech Feiner („Mikołaj”), obydwaj od września 1942 r. stale przebywający po stronie aryjskiej. Łącznikiem ŻOB z AK i z innymi ugrupowaniami polskiego Podziemia był Arie Wilner („Jurek”), przybyły z getta wileńskiego działacz Haszomer Hacair. odważny młody człowiek, który po aresztowaniu go w marcu 1943 r. przez gestapo, nie znające zresztą jego pochodzenia, mimo tortur nie ujawnił żadnego ze swych licznych kontaktów. Dzięki Polakom odzyskał wolność i wrócił do getta, bo uważał, że w chwili rozpoczęcia walki tam jest jego miejsce. Zginął — jak wspomnieliśmy — śmiercią samobójczą w bunkrze sztabu ŻOB przy ul. Miłej.

Po pełnym podporządkowaniu się żydowskiego Podziemia KG AK i Delegaturze Referat Żydowski BIP-AK objął całokształt spraw dotyczących współpracy wojskowej z istniejącymi w getcie organizacjami zbrojnymi, łączność zaś ośrodków kierujących tym Podziemiem z Delegaturą, a za jej pośrednictwem z rządem RP w Londynie i z rządami alianckimi zapewniał powstały w Departamencie Spraw Wewnętrznych Delegatury Referat Żydowski, którym kierował Witold Bieńkowski („Kalski”) wraz ze swym zastępcą Władysławem

akcjach AK posiadamy zapisy dokumentarne”. Natomiast rejestr tych akcji, zawierający dane o dacie, wykonawcach i przebiegu każdej z nich zamieszczony w pracy Tadeusza Bednarczyka (*Obowiązek silniejszy niż śmierć*. Warszawa 1986, s. 138—141) zawiera aż 28 pozycji.

Bartoszewskim („Ludwik”).

Jesienią 1942 r., po wywiezieniu na śmierć z warszawskiego getta większości jego mieszkańców, nawet najwięksi optymiści w okupowanym kraju zrozumieli, że mimo przekazywanych w świat rozpaczliwych apeli o pomoc i mimo przygotowań do zbrojnego oporu los polskich Żydów jest już przesądzony. Myślący Żydzi też nie mieli co do tego złudzeń.

W październiku 1942 r. dr Leon Feiner podczas rozmowy z wyjeżdżającym do Londynu kurierem AK i Delegatury, Janem Kozielowskim, oświadczył mu:

— Chcemy, żeby powiedział pan rządowi polskiemu, a także rządowi sprzymierzonym i ich wielkim przywódcom, że jesteśmy bezsilni w obliczu niemieckich zbrodniarzy. Nie możemy bronić się sami i nikt w Polsce nie może nas obronić. Konspiracyjne władze polskie mogą uratować poszczególne jednostki, ale nie mogą uratować mas. Niemcy nie usiłują uczynić z nas niewolników, jak z innych narodów; jesteśmy systematycznie mordowani^{23*}.

W miarę jak zbliżał się czas ostatecznej likwidacji gett, rosła liczba ludzi wyprowadzonych z nich przez Polaków. Czynili to na własną rękę ich przyjaciele i znajomi, zajmowało się tym w sposób zorganizowany Podziemie. Nieliczne były wypadki opuszczania gett przez Żydów, którzy nie mieli po drugiej stronie zapewnionego oparcia. Łatwo to zrozumieć: bez takiego oparcia ich szanse przetrwania byłyby równe zeru. Ilu wyprowadzono — ustalić się nie da. Historycy szacują, że tylko z warszawskiego getta wyszło w ten sposób do chwili wybuchu walk kwietniowych co najmniej 15 000.

* Ponad 200 wyjechało w skrytkach dwóch wywożących śmiecie samochodów ciężarowych ZOM, których załogi stanowili żołnierze Polski Walczącej. Co najmniej pięciu Polaków zatrudnionych w ZOM zapłaciło za to własnym życiem.

Wśród wyprowadzonych z warszawskiego i z innych gett Żydów była cała plejada wybitnych reprezentantów polskiej nauki i kultury. Światowej sławy bakteriolog prof. Ludwik Hirszfild, historyk prof. Józef Feldman, historyk literatury prof. Juliusz Kleiner, fizyk prof. Ludwik Wertenstein, przetrzucony przez AK z Warszawy do Budapesztu — to tylko kilka nazwisk z długiej listy uczonych, którzy

²³ Władysław Bartoszewski. Zofia Lewinówna *dz. cyt.*, s. 529.

dzięki Polakom uniknęli śmierci w komorach gazowych.

Oczywiście sam fakt wyjścia z getta nie był jeszcze równoznaczny z ocaleniem. Ale dawał szansę, której zamknięci w getcie nie mieli. Warunkiem jej wykorzystania była stała opieka nad tymi, których udało się z gett wyprowadzić, polegająca przede wszystkim na zapewnieniu im schronienia, dokumentów, środków do życia. Dotyczyło to zwłaszcza ludzi, których ze względu na wiek czy stan zdrowia nie można było przerzucić do oddziałów partyzanckich. Wielu z nich stało się podopiecznymi „Żegoty”. jedynej w okupowanej przez Niemców Europie tego rodzaju organizacji, której wyłącznym celem było ratowanie Żydów. Została ona zawiązana we wrześniu 1942 r. w Warszawie z inicjatywy katolickiej organizacji społecznej Front Odrodzenia Polski, a dzięki osobistym wysiłkom jej przewodniczącej, znanej pisarki Zofii Kossak i jej najbliższej współpracownicy. Wandy Kraheleskiej-Filipowiczowej. Inicjatywa ta była wyciągnięciem praktycznych wniosków z postawy, jaką autorka *Krzyżowców* zajęła w imieniu FOP w sierpniu 1942 r. wobec zbrodni dokonującej się w warszawskim getcie we wstrząsającej ulotce *Protest*, wydanej w nakładzie 5000 egzemplarzy i kolportowanej zarówno wśród Polaków jak i Żydów.

„Wobec zbrodni nie wolno pozostawać biernym — pisała Zofia Kossak w tym historycznym dziś dokumencie. — Kto milczy w obliczu mordu — staje się współnikiem mordercy. Kto nie potępia — ten przyzwala. Zabieramy przeto głos my, katolicy-Polacy (...) Nie chcemy być Piłatami. Nie mamy możliwości czynnie przeciwdziałać morderstwom niemieckim, nie możemy nic poradzić, nikogo uratować — lecz p r o t e s t u j e m y z głębi serc przejętych litością, oburzeniem i grozą. Protestu tego domaga się od nas Bóg, Bóg, który nie pozwolił zabijać. Domaga się sumienie chrześcijańskie. Każda istota zwaça się człowiekiem ma prawo do miłości bliźniego. Krew bezbronnych woła o pomstę do nieba. Kto z nami tego protestu nie popiera — nie jest katolikiem.”²⁴

Wbrew sławom wybitnej pisarki: „Nie możemy nic poradzić, nikogo uratować”, jej inicjatywa uratowała tysiące.

Początkowo nowo powstała instytucja miała nazwę: Tymczasowy Komitet Pomocy Żydom, w codziennej pracy posługiwano się jednak

²⁴ Fotokopia w: Teresa Prekerowa *dz. cyt.*, s. 112.

kryptonimem: Tymczasowy Komitet im. Konrada Żegoty, który nic nie oznaczał, gdyż ów „Konrad Żegota” był postacią całkowicie fikcyjną. Działalność Komitetu, mimo że ograniczał ją brak ludzi i środków, okazała się tak owocna i tak potrzebna, że już na początku grudnia 1942 r. został on przekształcony — w wyniku porozumienia kilku organizacji Polski Podziemnej z jednej, a Żydowskiego Komitetu Narodowego i Bundu z drugiej strony — w Radę Pomocy Żydom (kryptonim „Żegota”), będącą stałym organem Delegatury Rządu. Jej przewodniczącym został przedstawiciel PPS-WRN. Julian Grobelny („Trojan”). Przedstawiciele w Radzie mieli ludowcy, demokraci i katolicy z FOP. Stronę żydowską reprezentowali dr Berman i dr Feiner.

RPŻ działała głównie w Warszawie, Krakowie i Lwowie, lecz także i *m* innych ośrodkach. Utrzymywała ona łączność z organizacjami, które nie były w niej reprezentowane, wśród nich także z PPR. Niosła pomoc Żydom niezależnie od ich światopoglądu, zapatrywań politycznych, przynależności organizacyjnej. Zaopatrywała ich w komplety dokumentów fabrykowanych przez własne biuro legalizacyjne, w odzież, żywność, zapewniała im mieszkania, pomoc lekarską, w niektórych wypadkach zatrudnienie. Wyplacała systematyczne zapomogi stanowiące ekwiwalent skromnego wyżywienia.

Fundusze na te cele Rada czerpała ze stałych dotacji rządu RP, docierających do kraju drogą powietrzną, a przekazywanych jej przez Delegaturę oraz z nadchodzących tym samym kanałem wpłat światowych organizacji żydowskich, z tym, że w ogólnym przekroju całej swej działalności w 90 procentach finansowana ona była z pierwszego źródła, a zaledwie w 10 procentach z drugiego. Wysokość dotacji była różna, uwarunkowana możliwościami Delegatury i potrzebami RPŻ, które z reguły znacznie przewyższały jej możliwości, systematycznie jednak rosła. W październiku i listopadzie 1944 r., po Powstaniu Warszawskim, podczas którego RPŻ pieniędzy nie otrzymywała. Delegatura wypłaciła jej w dwóch ratach 14 mln zł., co stanowiło sumę poważną i tysiącom Żydów ukrywających się na terenach zajętych jeszcze przez Niemców umożliwiło przetrwanie ostatnich miesięcy okupacji.

Łączną liczbę podopiecznych „Żegoty”, korzystających bodaj z jednej z form świadczonej przez nią pomocy, historycy szacują na 40 000 — 50 000 osób. W samej Warszawie w chwili wybuchu Powstania ukrywało się 20 000 — 30 000 Żydów, których znaczna część była tą

pomocą objęta. „Żegota” docierała również do gett. dopóki one istniały, a po ich ostatecznej likwidacji do zachowanych przez Niemców — zazwyczaj jako obozy pracy — skupisk ludności żydowskiej, dostarczając znajdującym się tam ludziom żywność, odzież, leki i pomagając im w uciezkach, jeśli je planowali.

W maju 1943 r., gdy dogasał już opór warszawskiego getta. Zofia Kossak pisała na łamach „Prawdy”, organu prasowego FOP:

„Naszym obowiązkiem jest pomagać prześladowanym Żydom, nie dbając o to, czym nam oni za tę pomoc odpłacają teraz lub odpłacą w przyszłości”²⁵.

Działacze RPŻ i ludzie, którzy im pomagali, w większości bezimienni, z obowiązku tego wywiązali się w sposób dający im prawo do dumy. A to, jak niektórzy z uratowanych odpłacili im za tę pomoc, dla oceny tego. czego dokonali, nie ma najmniejszego znaczenia.

Nie wszystkim podopiecznym „Żegoty” dane było przeżyć. Niektórych zawodziły nerwy i odchodzili sami. Tak było w przypadku znanego aktora Michała Znicza, który po wyjściu z warszawskiego getta ukrywał się w Pruszkowie i tam w wieczór wigilijny 1943 r. popełnił samobójstwo.²⁶ Wiele kryjówek wytropili Niemcy, sami lub przy pomocy różnych konfidentów. W marcu 1944 r. jeden z nich wskazał hitlerowcom podziemny schron zbudowany w ogrodzie posesji przy ul. Grójeckiej 81 w Warszawie, w którym ukrywało się 40 Żydów. Posesja ta należała do ogrodnika Mieczysława Wolskiego (według

²⁵ Teresa Prekerowa *dz. cyt.*, s. 257.

²⁶ Jest to jedna z trzech wersji śmierci tego popularnego aktora. Według drugiej wersji Znicz, po wy prowadzeniu go z warszawskiego getta, był w stanie krańcowego wyczerpania nerwowego i został umieszczony w zakładzie psychiatrycznym „Zofiówka” w Otwocku, gdzie w sierpniu 1942 r. wraz ze wszystkim pacjentami zakładu zginął zastrzelony przez Niemców. Według trzeciej wersji Znicz uniknął kaźni w „Zofiówce”, został przerwany do Warszawy i przez dłuższy czas ukrywał się u polskiej rodziny na Starym Mieście. Tam też. już po wybuchu Powstania. 13 sierpnia 1944 r.. wraz z dużą grupą (około 300 osób) żołnierzy AK i cywilów zginął na skutek wybuchu niemieckiego czołgu-pułapki. który eksplodował n; ul. Kilińskiego. Podobno w ostatnich dniach przed swą śmiercią Znicz uczestniczył w programach estradowych. organizowanych dla żołnierzy i ludności cywilnej. Autorowi nie udało się stwierdzić w sposób nie pozostawiający wątpliwości, która z tych wersji odpowiada prawdzie.

kilku przekazów jej współwłaścicielem była również współdziałająca z Wolskim rodzina Władysława Marcza), który od wiosny 1942 r. w piwnicy swego domu ukrywał 10 uciekinierów z getta. Gdy tuż przed deportacjami do Treblinki pojawiło się tych uciekinierów więcej, wspólnymi siłami, pracując prawie dwa miesiące, wybudowali oni pod szklarnią dużą ziemiankę, częściowo wybetonowaną, umocnioną drewnianymi balami, wyposażoną w ubikację i niewielką kuchnię z piecem podłączonym do komina sąsiedniej oficyny. W ziemiance tej uciekinierzy getta znaleźli znośne schronienie na okres blisko dwóch lat. Opiekował się nimi Wolski wraz z całą swoją liczną rodziną.

Dnia 7 marca 1944 r. Niemcy schron odkryli, wszystkich jego mieszkańców wywieźli na Pawiak i w trzy dni później zamordowali w ruinach getta. Był wśród nich znany historyk żydowski dr Emanuel Ringelblum, który przed deportacjami został wywieziony do obozu w Trawnikach, skąd wydobyl go i przywiózł do Warszawy działający na zlecenie „Żegoty” oficer AK Teodor Pajewski („Szalony”). W „Krysi”, bo tak nazywano schron przy Grójeckiej, dr Ringelblum pisał nie dokończoną pracę *Stosunki polsko-żydowskie w czasie II wojny światowej*, której obszerne fragmenty ocalały. Oprócz autora zamordowano jego żonę i czternastoletniego syna.

Zginęli wówczas także Mieczysław Wolski i jego dwudziestoletni siostrzeniec, Janusz Wysocki. Pozostałych członków rodziny Wolskiego ocaliło to, że w ostatniej chwili zdołali zbiec. Inaczej podzieliliby jego los. Polska bowiem była, jak wielokrotnie o tym pisano, jedynym krajem w Europie, w którym za pomoc udzieloną Żydom karano śmiercią. I to nie tylko za ich ukrywanie.

Gubernator dystryktu warszawskiego, dr Ludwig Fischer, w obwieszczeniu ogłoszonym 10 listopada 1941 r. przypominał, powołując się na rozporządzenie generalnego gubernatora, że „żyd, który w przyszłości opuści nieuprawniony wyznaczoną mu dzielnicę żydowską, będzie karany śmiercią”, po czym dodawał:

„Tej samej karze podlega ten, kto takim żydom udziela świadomie schronienia lub w inny sposób pomaga (np. przez udostępnienie noclegu, utrzymanie, przez zabranie na pojazdy wszelkiego rodzaju itp.)”.

Zacytowane przez Fischera rozporządzenie Franka ukazało się 15 października 1941 r. Głosiło ono również, że „podżegacze i pomocnicy podlegają tej samej karze jak sprawca, czyn usiłowany karany będzie

jak czyn dokonany" ²⁷.

Kolejne edykty podobnej treści wydawali szefowie poszczególnych dystryktów oraz jednostek administracyjnych niższego szczebla, przy czym każdy z nich interpretował rozporządzenie generalnego gubernatora w sposób rozszerzający i zaostrzający. W rezultacie karano śmiercią nie tylko za ukrywanie Żydów, lecz również za podanie mu kromki chleba czy kubka mleka, a gdy ujawniono, że ktoś Żydów przechowuje, to ginął nie tylko on, lecz zabijano wszystkich jego domowników. Łącznie z małymi dziećmi.

Wkrótce za słowami poszły czyny.

Dnia 6 października 1942 r. rozstrzelano 22 rolników z Bidaczowa Nowego w powiecie biłgorajskim, w miesiąc później wszystkich mieszkańców wsi Obórki na Wołyniu, która liczyła 15 gospodarstw należących do rozgałęzionego rodu Trusiewiczów. Zabudowania spalono, teren zaorano, 6 grudnia 1942 r. oddział SS spalił żywcem w Ciepielewie Starym 21 osób, w tym większość dzieci, a w kilka godzin później w pobliskiej Rekówce, na klepisku w podpalonej następnie stodole, wymordował dziesięcioosobową rodzinę Skoczylasów i Kosiorów. W podobnych okolicznościach 12 stycznia 1943 r. w gajówce Dzwonowice w powiecie olkuskim zginęło 6 osób z rodzin Janusów i Madejów wraz z 6 ukrywanymi przez te rodziny Żydami, a w parę dni później 15 osób z trzech rodzin w Wierzbicy pod Radomiem. Do dwóch krwawych masakr doszło w podrzeszowskiej wsi Przewrotne: w pierwszej — 13 marca 1943 r. — zginęło 30 mężczyzn, w drugiej — 9 maja 1943 r. — 16 mężczyzn. W Hucisku koło Głogowa Małopolskiego 10 czerwca 1943 r. zamordowano 21 osób, spalono 17 budynków mieszkalnych i kilkadziesiąt zabudowań gospodarczych. Dnia 4 lipca 1943 r. do stodoły w Borze Kunowskim w powiecie starachowickim zagnano 43 mieszkańców tej wsi, następnie stodołę podpalono; wszyscy spłonęli. We wrześniu 1943 r. w Białymstoku rozstrzelano 22 osoby; w marcu 1944 r. wymordowano mieszkańców Huty Werchobuskiej w powiecie Złoczów, a nieco później ten sam ponury los przypadł 200 mieszkańcom wsi Berecz i Podiwanówka w powiecie Kowel.

Długi to i monotony rejestr, który można by powiększyć, gdyż za każdy ujawniony przypadek pomocy Żydom ginęło w Generalnym

²⁷ Władysław Bartoszewski, Zofia Lewinówna *dz. cyt.*, s. 547—548.

Gubernatorstwie — według danych Żydowskiego Instytutu Historycznego — co najmniej trzech Polaków, lecz nie będziemy tego czynić, by nie nużyć Czytelników. Ale część tego rejestru należało przypomnieć, zwłaszcza że każda ze składających się na niego pozycji miała swą własną dramaturgię, każda wryła się głęboko w ludzką pamięć i każda jest świadectwem tamtych okrutnych lat.

Starzy mieszkańcy Jasła do dziś pamiętają, jak podczas likwidacji tamtejszego getta na czele jednego z transportów Żydów pędzonych do czekających na bocznicę wagonów szło kilkunastu powiązanych za ręce polskich chłopów. Za pomoc Żydom zawieziono ich wraz z nimi do Bełżca i tam zamordowano. Ilu Polaków spotkał podobny los? Kilkanaście, kilkadziesiąt tysięcy? Nie wiemy. Tylko w Bełżcu zginęło ich z tego powodu ponad 1000. Jednak dokładnej wielkości tej liczby nie znamy. W każdym razie „szmalcownicy”, którzy z szantażowania ukrywających się Żydów uczynili sobie intratny proceder, stanowili w porównaniu z tą liczbą nic nie znaczący margines. Niemniej i tego zjawiska pominąć nie wolno, bo byli i tacy. Rozmijaniem się z prawdą byłoby również twierdzenie, że w dziele ratowania ludności żydowskiej uczestniczyło całe społeczeństwo polskie. Niewątpliwie jakaś jego część ograniczała się do biernego współczucia. Nie brakowało też obojętności, płynącej zazwyczaj z dawnych resentymentów. W najmniejszym jednak stopniu nie zmienia to faktu, że podejmowane przez hitlerowców od początku okupacji wysiłki, mające na celu nakłanianie Polaków do współdziałania z nimi w mordowaniu ludności żydowskiej, przyniosły im kompletne fiasko. Kompromitowały jedynie ich autorów, świadcząc o tym, że posługują się oni skalą wartości niemożliwą do zaakceptowania przez normalnych, zdrowych psychicznie ludzi.

Czyż można o lepszy tego przykład niż obwieszczenie z 19 lutego 1941 r. wysokiego bądź co bądź urzędnika okupacyjnej administracji, bo kreishauptmanna powiatu grójeckiego, w którym powiadamia on, że:

„1. Każdy, kto poda właściwemu organowi policji żyda, który bez zezwolenia wałęsa się po powiecie, i to tak, by władza na skutek doniesienia mogła go ukarać, otrzyma darmo od Kreishauptmanna 1 m żyta;

2. Taką samą nagrodę назнача się i w tym wypadku, gdy zamiast nazwisk włączających się żydów poda się tych, którzy żydom udzielają

gościny lub dają pożywienie" ²⁸. Te i podobne próby przemienienia Polaków w denuncjatorów, świadczące jedynie o bezgranicznej głupocie tych, którzy je podejmowali, mogły się powieść tylko w przypadku osobników do cna zdegenerowanych, pozbawionych jakichkolwiek ludzkich uczuć.

Zdarzało się natomiast, że Żydzi korzystający z polskiej pomocy, a ujęci przez Niemców, pod wpływem bicia lub po prostu ze strachu wskazywali hitlerowcom swych opiekunów.

Tak więc latem 1943 r. doszło do tragedii we wsi Połomeja w powiecie dębickim gdzie w gospodarstwie Józefa Rębina, w schowku pod stodołą, ukrywało się kilkunastu Żydów. Jedna z ukrywających się osób. młoda dziewczyna, pożyczyla od córki gospodarza kennkartę i wybrała się do pobliskiego Pilzna. Tam zatrzymała ją policja i przewiozła do Dębicy. Bitą przez gestapowców wydała kryjówkę swych krewnych i przyjaciół. O świcie zagrodę otoczyła żandarmeria. Józef Rębin został zastrzelony w obejściu, gdy zwlekał z odpowiedzią, gdzie ukrywa Żydów. Zamordowano jeco żonę, córkę z narzeczonym, służącą i 14 Żydów, którzy próbowali uciec ze schowka. Czasem Niemcy nie musieli nawet bić schwytanych, bo wystarczała czcza obietnica darowania im życia. W zamian za nią Żyd z Sądowego, w powiecie węgrowskim, złapany zimą 1943 r.. gdy niósł do lasu chleb, wyznał żandarmom, gdzie go kupił. Żandarmi zastrzelili go oraz jego bliskich ukrywających się w lesie i całą rodzinę piekarza Lubkiewicza. Podobnych wypadków można by przytoczyć więcej.

Wszystko to razem sprawiało, że ludzie ukrywający Żydów byli w pełni świadomi grożącego im śmiertelnego niebezpieczeństwa. Mimo to byli Polacy — a było ich wielu — którzy przez kilka lat okupacji nieśli ten ciężar, bo uważali, że jest to ich obowiązkiem wobec prześladowanych bliźnich i że obowiązku tego nic i nikt zdjąć z nich nie może. Ci spośród Żydów, którzy przeżyli, życie swoje zawdzięczali takim ludziom, jak przewodnicząca RPŻ we Lwowie Władysława Laryssa Chomsowa, która uratowała co najmniej kilkudziesięciu Żydów; jak pracująca w Wydziale Opieki Społecznej warszawskiego magistratu Jadwiga Piotrowska, która wspólnie z Janem Dobraczyńskim, kierownikiem działającego w ramach tego Wydziału Referatu Opieki Zamkniętej nad Dziećmi i Młodzieżą, umieściła w

²⁸ *Tamie*. s. 548

zakładach prowadzonych przez zgromadzenia zakonne kilkaset żydowskich dzieci; jak Andrzej Sliwiak, dozorca targowicy miejskiej w Kołomyi, który przez ponad rok — od likwidacji tamtejszego getta do wkroczenia Armii Czerwonej — bezinteresownie przechowywał w podziemnym schronie mieszczącym się w jego zabudowaniach 10 Żydów; jak młody lekarz z Dębicy dr Aleksander Mikołajko, ojciec dwojga małych dzieci, przez dwa lata ukrywający na strychu swego domu, stojącego obok budynku zajmowanego przez gestapo. 13 uciekinierów z getta. Szczęśliwie doczekali oni tam dnia wyzwolenia, w którym od zabłąkanego pocisku zginął ich opiekun; jak wreszcie Teresa Koźmińska, która w schronie pod podłogą swego mieszkania na peryferiach Pragi ukrywała od wybuchu walk w getcie do wyparcia Niemców z tamtych terenów 22 osoby.

Pełnej listy tych ofiarnych ludzi nikt nie sporządził. Ich nazwisk nikt nie utrwalił. Czasem tylko wspomną je w odpowiedzi na jakąś ankietę, czy w jakimś wywiadzie dla prasy nieliczni spośród tych, którzy ocaleli.

W ratowaniu Żydów czynnie uczestniczyli duchowni rzymskokatolicki, często płacąc za to własnym życiem. W Baranowiczach został z tego powodu rozstrzelany dziekan i proboszcz z Nieświeża, ks. Mieczysław Kubik; w Nowogródku — proboszcz parafii Wsielub, ks. dr Józef Kuczyński; w Bielsku Podlaskim — ks. Henryk Opiatowski, zamieszkały w czasie wojny w Brańsku; w Pińsku — dziekan i proboszcz parafii Łuniniec, ks. Fabian Poczobutt-Odlanicki, delegat rządu RP na Polesie. Wielu znalazło się w obozach koncentracyjnych, skąd nieliczni wrócili. Ks. Jan Kuydowicz, proboszcz parafii Puszcza Mariańska, zginął męczeńską śmiercią już w czasie transportu. Uduśił się 3 maja 1940 r. w potwornie zatłoczonym wagonie, którym wraz z innymi więźniami Pawiaka był transportowany do Sachsenhausen.

Także księża, znani przed wojną ze swego niechętnego stanowiska wobec Żydów, wyciągnęli do nich w czasie okupacji pomocną rękę. Uczynił to m.in. proboszcz parafii

Łw. Antoniego w Warszawie, ks. prałat dr Stanisław Trzeciak, uważany powszechnie za sztandarową postać tej grupy. Zuzanna Sienkiewiczowa z Obłęgorka, synowa wielkiego pisarza, w swej spisanej po wojnie relacji przytacza znamienne rozmowę ks. Trzeciaka z siostrą Wandą Garczyńską, przełożoną szkoły i internatu Sióstr

Niepokalanek przy ul. Kazimierzowskiej, gdzie ukrywano wiele dziewcząt pochodzenia żydowskiego. Były osoby, które z tego powodu miały do przełożonej pretensje, „dż nie mogły w szkole umieścić swych własnych córek. Siostra Garczyńska przedstawiła więc sprawę ks. Trzeciakowi, prosząc go o opinię.

„— Co grozi tym dziewczynkom katolickim, jeśli siostra nie znajdzie dla nich miejsca? — zapytał.

— Będą się uczyły w gorszych warunkach lub może nawet stracą te lata szkolne.

— A tamtych co grozi, gdyby siostra je stąd usunęła?

— Książd wie, pewna śmierć.

— Więc siostrze nie wolno się wahać i zastanawiać. Pierwszeństwo mają tu te małe zagrożone Żydóweczki." ²⁹

I rzeczywiście miały. Nie tylko u Sióstr Niepokalanek. Ks. Trzeciak zginął w pierwszych dniach Powstania Warszawskiego, rozstrzelany przez Niemców w pobliżu kościoła Św. Antoniego. Żaden z autorów piszących o pomocy udzielonej gettu w Warszawie nie pominie działalności ks. prałata Marcelego Godlewskiego, przed wojną jednego z czołowych działaczy Stronnictwa Narodowego, znanego z wielu wystąpień domagających się eliminowania Żydów z życia gospodarczego kraju. Parafia Wszystkich Świętych, w której ks. Godlewski był proboszczem, znajdowała się początkowo na terenie getta. co ułatwiło księdzu Godlewskiemu prowadzenie zakrojonej na dużą skalę akcji ratunkowo-charytatywnej. Przy kościele istniała kuchnia wydająca bezpłatne obiady, w pomieszczeniach parafialnych ukrywano całe grupy Żydów przetrzucanych następnie na stronę „aryjską”; tam też docierało uzbrojenie przeznaczone dla podziemnych organizacji żydowskich. Działalności tej ks. Godlewski nie przerwał i po wyłączeniu kościoła Wszystkich Świętych z getta. Ofiarnie pomagali mu w niej jego wikariusze, ks. Antoni Czarnecki i ks. Tadeusz Nowotko. Wymieniany już kilkakrotnie prof. Ludwik Hirszfild, który wraz z rodziną mieszkał na plebanii s. Godlewskiego, tak napisał po wojnie o tym kapłanie: „Prałat Godlewski. Gdy wymawiam to nazwisko, ogarnia mnie wzruszenie. Namiętność i miłość w jednej duszy. Ongiś bojowy antysemita, kapłan wojujący w

²⁹ Relacja Zuzanny Sienkiewiczowej w: Władysław Bartoszewski, Zofia Lewinówna *di. cyt.*, s

piśmie i słowie. Ale gdy los zetknął go z tym dnem nędzy, odrzucił precz swoje nastawienie i cały żar swego kapłańskiego serca poświęcił Żydom. Gdy pojawiła się ego piękna siwa głowa, przypominająca oblicze Piotra Skargi z obrazu Matejki, i miłości i pokorze schylały się przed nim głowy. Kochaliśmy go wszyscy: dzieci, starcy i wrywaliśmy go sobie na chwilę rozmowy. A nie skąpił siebie. Uczył dzieci katechizmu, stał na czele Caritasu dzielnicy i kazał rozdawać zupeł bez względu na to, czy głodny jest chrześcijaninem, czy Żydem. Często przychodził do nas, by pocieszać i pokrzepiać"³⁰.

Analogiczną działalność w przylegającej do getta parafii pod wezwaniem Św. Augustyna przy ul. Nowolipki prowadził jej proboszcz, który w pierwszych latach okupacji został wypędzony ze swej diecezji, ks. biskup Karol Niemira, sufragan piński, a kontynuował ją jego następca, ks. Franciszek Garncarek. zamordowany za to na plebanii w grudniu 1943 r.

Biskup Niemira nie był pod tym względem wyjątkiem wśród hierarchów, bo cały episkopat, nie wyłączając tych jego członków, którzy w sprawie walki zbrojnej z okupantem zajmowali stanowisko raczej wstrzemięźliwe z obawy przed represjami, jakimi ona groziła, pomoc prześladowanym uważał za podstawowy obowiązek wiernych. Wielu biskupów aktywnie ją świadczyło.

Wzorcem dla duchowieństwa był także i w tym zakresie metropolita krakowski arcybiskup Adam Sapieha, który wielokrotnie apelował do Franka o zaprzestanie terroru wobec ludności żydowskiej, a gdy apele te pozostawały bez skutku, osobiście stanął na czele akcji ratunkowej. Zaopatrywał Żydów w metryki, zlecał to duchowieństwu archidiecezji, otwierał przed nimi wrota klasztorów, umieszczał żydowskie dzieci w prowadzonych przez zgromadzenia zakonne internatach i sierocińcach. Prawą ręką arcybiskupa w tej pracy był znany działacz społeczny i kaznodzieja, ks. dr Franciszek Machay, wówczas proboszcz w kościele Najświętszego Salwatora na krakowskim Zwierzyńcu.

Szeroką akcję pomocy materialnej Żydom rozwinął ordynariusz diecezji sandomierskiej, ks. biskup Jan Kanty Lorek. Prowadzili ją także ks. arcybiskup Antoni Szlagowski w Warszawie oraz księża biskupi: Franciszek Barda w Przemyślu, Czesław Kaczmarek w Kielcach, Teodor Kubina w Częstochowie, Edward Komar w

³⁰ . Ludwik Hirszfild *di. cyt.*, s. 306—307

Tarnowie, Stanisław Łukomski w Łomży. Na kresach wschodnich patronowali jej: metropolita wileński ks. arcybiskup Romuald Jałbrzykowski, mimo że sam był od marca 1942 r. aż do wyzwolenia tamtych obszarów więziony przez Niemców; sprawujący rządy w archidiecezji lwowskiej ks. biskup Eugeniusz Baziak; ordynariusz łucki ks. biskup Adolf Szelażek, a także lwowski metropolita greckokatolicki Andrzej Szeptycki, który m.in. uratował jednego z tamtejszych rabinów, dr. Dawida Kahane, ukrywając go w swej rezydencji. Kahane przeżył i po wojnie był majorem Ludowego Wojska Polskiego.

Ale nie wszyscy rabini chcieli korzystać z tej drogi ratunku otwieranej im przez duchowieństwo katolickie. Gdy w 1942 r., w obliczu zbliżających się masowych deportacji z getta w Warszawie, przedstawiciele duchowieństwa katolickiego zaoferowali schronienie trzem rabinom — dwóch z nich serdecznie za to podziękowało, oświadczając, że nie mogą opuścić swych skazanych na zagładę współwyznawców. Obydwaj zginęli w Treblince. Trzeci ofertę przyjął i do wybuchu Powstania Warszawskiego ukrywał się w bibliotece ordynariusza archidiecezji warszawskiej. Wojnę przeżył.

Najpiękniejszą kartę w ratowaniu Żydów zapisały zakony żeńskie. W sierocińcu dla dziewcząt, prowadzonym przez Zgromadzenie Sióstr Franciszkanek Rodziny Maryi w podwarszawskich Płudach, wśród 160 wychowanek aż 40 było pochodzenia żydowskiego. Dzieci żydowskie przechowywano we wszystkich należących do żeńskich zgromadzeń zakonnych sierocińcach, przytułkach, internatach. W swych klasztorach i domach opieki zgromadzenia te ukrywały także dorosłych Żydów. Zaopatrzeni w uzyskane staraniem zakonnic fałszywe dokumenty mieli tam zapewniony dach nad głową, wyżywienie, opiekę lekarską.

Historyczną — nie wahajmy się użyć tego słowa — zasługę w tym dziele ma wspomniane przed chwilą Zgromadzenie Sióstr Franciszkanek Rodziny Maryi, którego przełożoną była matka Matylda Getter. Przygarnęła ona do swych domów kilkaset dzieci żydowskich.

Oczywiście dzieci te musiały w oczach osób postronnych — o Niemcach nie mówiąc — uchodzić za pochodzące z rodzin katolickich, gdyż w przeciwnym wypadku groziło im i ich opiekunkom śmiertelne niebezpieczeństwo. Tym bardziej realne, że Niemcy często to sprawdzali, każąc dzieciakom modlić się i egzaminując je ze znajomości podstawowych prawd wiary. Sama metryka chrztu — sfingowana, bądź potwierdzająca chrzest innego dziecka, niż to, które

miała chronić — nie wystarczała, by zapewnić mu życie. Dlatego dzieci te chrzczono, pragnąc w ten sposób zakorzenić w ich świadomości, że niczym nie różnią się od swych rówieśników

ochrzczonych bezpośrednio po urodzeniu, uczono je modlitw i katechizmu. Czyż trzeba uzasadniać, że nie miało to na celu przysparzania Kościołowi „wyznawców”, lecz stanowiło warunek uchronienia tych dzieci przed śmiercią?

A jednak po wojnie znaleźli się ludzie, którzy taki właśnie zarzut — bezprawnego chryścianizowania dzieci żydowskich — postawili ich opiekunom i wybawicielom.

Przywołajmy tu pełne zrozumiałej goryczy wyznanie wymienianej już w tym rozdziale Jadwigi Piotrowskiej, w czasie okupacji pracowniczką Referatu Opieki Zamkniętej nad Dziećmi i Młodzieżą w Zarządzie Miejskim w Warszawie, a jednocześnie działaczki „Żegoty”, która sama uratowała co najmniej 50 dzieci żydowskich, przynosząc je — często na własnych rękach — z getta lub z „aryjskiej” ulicy, gdzie zostały przez kogoś podrzuczone, wyrabiając im dokumenty, umieszczając w sierocińcach. Po zakończeniu działań wojennych Piotrowska wraz z Janem Dobraczyńskim udała się do reaktywowanej w Warszawie Gminy Żydowskiej, by przekazać tam spisy uratowanych dzieci.

„Podczas rozmowy — wyzna po latach — powiedziano nam, że popełniliśmy zbrodnię, kradnąc społeczności żydowskiej setki dzieci, chrzcząc je, wyrywając z żydowskiej kultury. Powiedziano nam także, iż jesteśmy gorsi od Niemców. Niemcy brali tylko ciało, my ukradliśmy duszę, skazując dzieci na potępienie. Nasze argumenty że walczyliśmy o życie, skwitowano wprost: już lepiej, by te dzieci nie żyły, niż by miało się stać, co się stało. Wyszliśmy stamtąd kompletnie załamani. I tkwi to w na; chyba do dziś. W wiele lat później żydowski dziennikarz Donat, człowiek, któremu na jego zresztą prośbę ulokowaliśmy dziecko w klasztorze, w książce *Holocaust Kingdom* powtórzył wszystkie oskarżenia. Minęło już ponad czterdzieści lat, a ja wciąż się »rozliczam« we własnym sumieniu z tą sprawą. Czy naprawdę byłoby lepiej gdybyśmy te dzieci posłali na śmierć?”^{31*}

Jakikolwiek komentarz z pewnością jest tu zbędny.

Pisaliśmy uprzednio o Zgromadzeniu Sióstr Franciszkanek Rodziny

³¹ 50 razy kara śmierci, „Kierunki”, r. 1986, nr 19

Maryi. Otó; warto przypomnieć, że znalazł w nim również schronienie kapłan rzymskokatolicki pochodzenia żydowskiego, ks. Tadeusz Puder, przed wojną rektor kościoła Św. Jacka. w Warszawie. Po wkroczeniu Niemców arcybiskup Stanisław Gall mianował go kapelanem sierocińca Zgromadzenia Sióstr Rodziny Maryi w Białoleńce Dworskiej gdzie ks. Puder przebywał do kwietnia 1941 r., kiedy to przyjechało po niego gestapo Był torturowany w al. Szucha, później znalazł się w więzieniu przy ul. Rakowieckiej skąd wraz z grupą innych Żydów miał być przewieziony do getta i tam stracony Jednak siostry, opiekujące się przez cały czas swym kapelanem, czuwały. Dzięki ich wysiłkom lekarz niemiecki, do którego dotarły, umieścił księdza w szpitalu przy; ul. Żelaznej, skąd przy pomocy personelu i Podziemia udało się zorganizować jego ucieczkę. Ks. Puder w przebraniu zakonnic i z owiniętą głową, by zataił swój zdecydowanie semicki wygląd, ukrywał się przez kilka miesięcy w warszaw skich plebaniach, po czym ponownie znalazł się w Białoleńce, gdzie sióstr przechowywały go w specjalnej skrytce, tając jego obecność zarówno przed personelem, jak i przed dziećmi. Tam doczekał wybuchu Powstania Warszawskiego w czasie którego Niemcy wyrzucili siostry z Białoleki; przeniósł się więc wraz z nim do Płud. Dnia 26 stycznia 1945 r., już w wolnej Warszawie, potrafiła go na Marszałkowskiej przyczepa samochodu ciężarowego. Lekarze stwierdzili pęknięci czaszki i rozległy wylew. Zmarł nazajutrz. Pochowany został na Bródnie, a kondukt pogrzebowy prowadził ks. dr Eugeniusz Dąbrowski.

Wróćmy jednak do żeńskich zgromadzeń zakonnych. Nie było wśród nich takiego które nie otworzyłoby drzwi swoich domów przed ściganymi jak dzika zwierzyna Żydami. Ukrywano tam nawet ludzi, o których siostry wiedziały, że znajdują się na pierwszej linii walki. Między innymi w domu karmelitanek przy ul. Poznańskiej w Warszawie miał swój lokal konspiracyjny łącznik ŻOB z AK i GL, wymieniany już kilkakrotnie Arie Wilner. Łącznie zakonnice ocaliły kilkanaście tysięcy dzieci żydowskich i kilka tysięcy dorosłych Żydów. Wiele sióstr, jak na przykład 8 szarytek z sierocińca pod wezwaniem Św. Stanisława w Wawrze, poniosło za to śmierć, dużo więcej wysłano do obozów koncentracyjnych.

Dr Adolf Berman, jeden z czołowych przywódców żydowskiego Podziemia w okupowanej Polsce, w artykule opublikowanym w 1954 r. w wychodzącym w Tel-Awiiwie czasopiśmie „Izrael Bleter” zawarł taką

refleksję:

„Przyjdzie jeszcze czas na wielką Złotą Księgę Polaków, którzy w tych strasznych »czasach pogardy« podali bratnią dłoń Żydom, ratowali ich od śmierci i stali się dla żydowskiego ruchu podziemnego podnoszącym na duchu symbolem humanitarnym i braterstwa ludów" *

Ten czas, mimo upływu 30 lat od napisania powyższych słów, jeszcze nie nadszedł. Ale jeśli kiedyś miałby nadejść, to pewne, że jednym z najbogatszych i najpiękniejszych rozdziałów tej „Złotej Księgi Polaków” będzie rozdział zapisany przez Kościół w Polsce — biskupów, duchowieństwo, zgromadzenia zakonne.

Tylko nielicznych udało się uratować. O dokładnej statystyce także i w tym wypadku nie może być mowy, bo niemal każdy z autorów zabierających na ten temat głos podaje inne liczby. Lecz coś z nich wynika.

Przede wszystkim wiemy, że przed wojną w granicach II Rzeczypospolitej mieszkało około 3,3 mln ludności żydowskiej. Część jej — też dziś trudno powiedzieć jaka — znalazła się we wrześniu 1939 r. na terenach zajętych przez Armię Czerwoną. Co najmniej kilkadziesiąt tysięcy przeszło tam z Generalnego Gubernatorstwa. Po uderzeniu na Związek Radziecki Niemcy większość zamieszkałych na tych terenach Żydów wymordowali. Ale część ocalała. Z reguły dzięki Polakom. Godzi się to podkreślić także i z tego względu, że bardzo wielu Żydów zamieszkałych na obszarach wschodnich Polski (lub przybyłych tam jesienią 1939 r.) od chwili zajęcia tych ziem przez ZSRR aż do wkroczenia na nie wojsk niemieckich zachowywało się wobec Polaków w sposób co najmniej nieprzyjazny. Oskarżali ich przed NKWD, tropili ukrywających się, uczestniczyli w aresztowaniach i deportacjach. Mimo to, gdy ludność żydowska stanęła w obliczu zagłady, Polacy — niepomni niedawnych złych doświadczeń — pośpieszyli jej z pomocą.

Wróćmy jednak do naszych szacunków. Według przybliżonych obliczeń wojna pochłonęła co najmniej 2,7 mln obywateli polskich pochodzenia żydowskiego. Stanowi to więcej niż połowę ogółu Żydów europejskich, którzy zginęli w czasie wojny (liczbę tę naukowcy szacują na 5,1 mln), a mniej niż połowę ogółu pomordowanych i poległych z rąk niemieckich obywateli polskich, których liczbę określa się na ponad 6 mln osób.

Z zestawienia liczby ludności żydowskiej, żyjącej przed wojną w naszych granicach (3,3 mln) z liczbą ofiar hitlerowskiego ludobójstwa (2,7 mln) wynika, że wojnę przeżyło około 600 000 Żydów polskich. Większość na terenach ZSRR, kilkadziesiąt tysięcy w innych państwach Europy, łącznie z neutralnymi. Na obszarze przedwojennej Polski ocalało 100 000 — 150 000. Rozpiętość tego szacunku jest, jak widać, duża, lecz zapewne nie da się już jej pomniejszyć. W okresie powojennym, gdy Żydzi wyjeżdżali z Polski, nikt ich nie liczył i nikt nie pytał, gdzie wojnę przeżyli.

Ale nie liczby są tu najważniejsze. Jakkolwiek byśmy bowiem liczyli, to dwa fakty są oczywiste. Po pierwsze należy stwierdzić, że mimo wysiłków i ofiar zdołano uchronić niewielu Żydów. A po drugie jest rzeczą oczywistą, że ci, którzy ocaleli, zawdzięczają to — w ogromnej większości — wyłącznie Polakom.

„Złotej Księgi”, która by po wieczne czasy to przypominała, nie ma i raczej nie będzie. Drzewa, jakie od dwudziestu kilku lat sadzą Żydzi na Wzgórzu Pamięci w Jerozolimie, w Alei Sprawiedliwych Wśród Narodów Świata, opatrując każde z nich tabliczką z nazwiskiem człowieka, który w tych okrutnych czasach podał Żydowi rękę, i z nazwą kraju jego pochodzenia — też tej prawdy nie odzwierciedlają. I nie mogą, bo gdyby każdy Polak, który tym kryteriom odpowiada, miał tam swoje drzewo, to aleja dawno przemieniłaby się w las. Jednemu tylko Karolowi Klimczakowi z Drohobycza należałoby się 56 drzew, bo tylu Żydów ukrywał.

Więc nie czekajmy na „Złotą Księgę” i nie liczymy, na ilu drzewach w Alei Sprawiedliwych widnieją tabliczki z napisem „Polska”. Wystarczy nam napis wyryty na medalu wręczanym — wraz z tytułem „Sprawiedliwy wśród narodów świata” — przez izraelski Instytut Pamięci Yad Vashem tym, którzy szczególnie wyróżnili się w niesieniu Żydom pomocy. Napis ten głosi: „Kto ratuje jedno życie — ratuje cały świat”.³²

Żalu, że uratować mogliśmy tylko tylu, i tak nic nie ugasi. Trwać będzie nadal. Razem z pamięcią o tysiącu takich epizodów jak ten, który odnotowała pewna Polka z Wilna, ukrywająca po likwidacji tamtejszego getta dwie Żydówki, babcię z wnuczką. Czteroletnia Sala, której rodziców i rodzeństwo zamordowano w Ponarach, całymi dniami siedziała bez ruchu pogrążona w głębokim milczeniu. Aż wreszcie któregoś ranka, słysząc hałas na podwórzu, podniosła się i spytała:

— Babciu, czy to na Ponary już trzeba iść?

To jeszcze nie był ten dzień. Lecz wkrótce nadszedł.

Wśród około 5500 osób różnej narodowości, odznaczonych tym medalem do 1985 r., ponad 1650 to Polacy.

³² Władysław Bartoszewski, Zofia Lewinówna. *dz. cyt.*, s. 80